



**RAYE MORGAN**

**Żona z katalogu**

Tytuł oryginału: *Wife by Contract*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Joe Camden nie przypuszczał, że aż tak się wzruszy. W zasadzie nie był sentymentalny, ale kiedy wysiadł z samochodu i spojrzał na stary, zaniedbany budynek, stało się, z nim coś dziwnego.

A więc jednak wrócił do domu. Do tego samego domu, który, gdy tylko nadarzyła się po temu okazja, opuścił prawie biegiem.

- Jeszcze za nim zatęsknisz - mówiła Annie Andrews w dniu wyjazdu Joego. - Wcześniej czy później Alaska i tak cię wezwie.

- Nie ma mowy. - Joe był wówczas bardzo pewny siebie. Zatrzymał się w sklepiku Annie jedynie po to, żeby kupić sobie jakieś jedzenie na drogę. - Odtąd interesują mnie tylko światła wielkiego miasta.

- I dziewczyny - dokończyła za niego Annie. - Rzeczywiście, nie ma tu zbyt wielu dziewcząt. Nic dziwnego, że chłopcy też uciekają.

Joe uśmiechnął się do siebie na wspomnienie tamtego dnia, tamtej rozmowy i wszystkiego tego, co działo się z nim potem. Annie miała rację: w końcu przyjechał na Alaskę. Wprawdzie na krótko, ale jednak przyjechał. Majestat Alaski, ośnieżone szczyty gór, zielone łąki i płynące w wąwozach rzeki wciąż go zachwycaly, choć nie były już jego

domem. Jego miejscem na ziemi stało się Los Angeles.

A na Alasce nic się przez ten czas nie zmieniło. Stary dom, w którym mieszkał teraz jego brat, Greg, był tak samo zaniedbany jak zawsze. No cóż, Greg, podobnie jak ich ojciec, nie grzeszył poczuciem odpowiedzialności. Właśnie przez tę jego wadę Joe musiał przyjechać do tego zapomnianego przez Boga i ludzi zakątka ziemi.

W krzakach zaszeleściło. Joe zauważył coś, co wyglądało jak kawałek brązowego futerka. Przeszłość wróciła do niego z nową siłą.

- Champ - mruknął, przypomniawszy sobie rudego psiaka, który miał zwyczaj chować się w krzakach, a potem nagle wyskakiwać. Joe zapomniał, że Champ dawno już nie żyje. Podszedł do krzaka i włożył rękę w zielony gąszcz.

- Champ - powtórzył głośno. Wydało mu się, że może sięgnąć w przeszłość i wyciągnąć z niej to, co najmilsze sercu.

Champ nie wyskoczył z krzaków, ale za to jakieś stworzenie wbiło ostre zęby w dłoń Joego.

- Co jest, do jasnej... - Joe gwałtownie cofnął rękę. Spod krzaka wyskoczył mały chłopczyk. Pędził ile sił w nogach. Prosto do domu Grega.

- Hej! - zawołał za nim Joe. Ale chłopiec ani myślał się zatrzymać.

- Zaczekaj! Nic ci nie zrobię! - wołał bez przekonania Joe. Obejrzał rękę, na której widniały siady zębów. Dawno nie miał takich znaków na ciele. Tylko wtedy, kiedy bił się z Gregiem...

Za dużo tych wspomnień, pomyślał Joe. Champ nie żyje, a ten chłopiec to nie Greg. Ale co on, u diabła, robi w domu mojego brata? No nic, zaraz wszystkiego się dowiem.

Zanim jednak zdążył zrobić trzy kroki w kierunku domu, na ganku pojawiła się kobieta. Jej widok po prostu go poraził.

Kobieta podniosła dłoń i osłaniając nią oczy, rozglądała się wokoło.

- Rusty! - zawołała do biegnącego chłopca. Zamarła, kiedy zauważyła Joego.

A on patrzył na nią jak urzeczony. Nigdy przedtem nie widział na Alasce nikogo choćby podobnego do niej. Warunki były tu surowe i kobiety ubierały się odpowiednio do klimatu. Ta zaś miała na sobie kostium z białej wełny, cienkie rajstopy i pantofle na wysokim obcasie. Jasne, ułożone przez dobrego fryzjera włosy odbijały promienie słoneczne.

Joe potrząsnął głową, jakby usiłował obudzić się ze snu. To, co widział, w żaden sposób nie pasowało do jego wiedzy o Alasce ani do jego własnej przeszłości, ani wreszcie do tego, co wiedział o życiu swego brata.

Kto to jest? pomyślał oszołomiony. I co ona robi w domu mojego brata?

Chynna Sinclair zauważyła zbliżającego się mężczyznę, a potem stojący na drodze samochód. W ustach jej zaschło.

A niech to! pomyślała. Widział już Rusty'ego. Za późno, żeby go gdzieś schować. A myśmy nawet nie zdążyli się poznać.

Rusty dopadł do niej i z całą mocą wtulił się w jej jasny kostium. Spojrzała na niego i czule pogłaskała po głowie.

No cóż, może to i lepiej, pomyślała. Najgorsze mam już za sobą. Tylko dlaczego on wciąż tam stoi? Stoi i patrzy.

- Wejdz do domu - powiedziała do syna, delikatnie odrywając od siebie jego rączki. - Zostań z Kim, a ja tymczasem porozmawiam z tym panem.

Może gdyby dzieci bawiły się cicho w domu, mogłabym z nim spokojnie porozmawiać, jakoś go przygotować... Bzdura! Nie ma się co oszukiwać.

Przez całą drogę z Chicago zastanawiała się nad tym, jak to zrobić, co mu powiedzieć. Teraz jednak na wszystko było już za późno. Widział jej syna i na pewno się zorientował, że wybrana z katalogu żona przywiozła ze sobą bagaż, którego się nie spodziewał.

Weszła za Rustym do domu. Dała dzieciom kredki i książeczki do kolorowania, po czym wróciła na ganek. Mężczyzna wciąż stał w tym samym miejscu i wpatrywał się w dom. Chynna pomyślała, że może powinna podejść i przywitać się z nim. Przecież miał zostać jej mężem. Ale gdyby tak zrobiła, obcasy eleganckich pantofli ugrzęzłyby w błocie i cały efekt diabli by wzięli. Doskonale wiedziała, że jej ubranie zupełnie nie pasuje do tej okolicy. Specjalnie tak się ubrała. Przyjechała sprzedać towar, a w takich sprawach, jak to zawsze powtarzał jej szef, najważniejszy jest wygląd. Wobec tego stała na ganku, a serce waliło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

A co będzie, jeśli mnie nie zechce? Jeśli nie zechce moich dzieci? myślała. Trzeba będzie go przekonać.

Wciąż jeszcze nie wiedziała, co ma powiedzieć. Tak trudno było opowiedzieć wszystko w jednej chwili. Co innego, gdyby mieli okazję najpierw się poznać. Gdyby on miał możliwość stopniowo, coraz lepiej poznawać ją i jej dzieci. Wtedy na pewno wszystko by zrozumiał, a tak...

Chynna wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - zawołała. - Musieliśmy się minąć na lotnisku. Pilot nas tutaj przywiózł.

Jej słowa podziały jak przełącznik. Mężczyzną poruszył się i powoli zbliżył do domu.

- Chyba się nie gniewasz - mówiła szybko. - Dom był otwarty, więc weszliśmy do środka.

Był już całkiem blisko i wreszcie zobaczyła jego twarz. Odetchnęła. Nie chciała wierzyć, że zdjęcie, które jej przysłał, właśnie jego przedstawiało. Był na nim taki przystojny. Chynna wietrzyła w tej sprawie oszustwo. A jednak zdjęcie okazało się prawdziwe. Stał przed nią ten sam mężczyzna, którego znała z fotografii. W rzeczywistości był jeszcze przystojniejszy. Nie był ani stary, ani brudny, a jego dżinsy i skórzana kurtka niezbyt pasowały do otoczenia, podobnie zresztą jak biały kostiumik Chynny.

Chynna wyobrażała sobie, że jej narzeczony będzie farmerem i myśliwym, trochę nieokrzesanym i na pewno nie-porządnym. Jednak ten mężczyzna wyglądał zupełnie inaczej. Szczerze mówiąc, wyglądał tak dobrze, że nie mógł być prawdziwy.

Wchodził po schodkach. Miał taką minę, jakby jej obecność go zirytowała albo co najmniej zaskoczyła.

- Cześć. - Chynna wyciągnęła do niego rękę. - To ja jestem Chynna Sinclair. Bardzo się cieszę, że mogłam tu przyjechać.

Mężczyzna ujął jej dłoń i długo się jej przyglądał. Po chwili uniósł głowę.

- Co tu się dzieje? - zapytał. - Gdzie jest Greg?

Z głębi domu dobiegł dziki wrzask i zagłuszył jego pytanie.

- Muszę zobaczyć, co tam się stało. - Chynna zaczerwieniła się i pobiegła do dzieci.

Joe poszedł za nią. Stał w przestronnej sieni, żeby sobie dokładnie

wszystko obejrzeć. Dom wyglądał dokładnie tak samo jak w dniu jego wyjazdu. Greg niczego nie zmienił.

W pokoju słychać było głosy. Chynna starała się zażegnać jakąś awanturę, ale jemu to w niczym nie przeszkadzało. Wpatrywał się w portret dziadka, wciąż wiszący na ścianie i wciąż z naganą patrzący siwymi oczami pioniera na niepoprawnego wnuka. Przy drzwiach stała ta sama co zawsze szufla do odśnieżania. Na jej widok Joe dostawał dreszczy i to także nie uległo zmianie. Był tu też ten sam elegancki kredens, w którym matka przechowywała świąteczny serwis i porcelanowe figurki. Niewiele ich już zostało. Tylko te, za którymi specjalnie nie przepadała. Resztą zabrała ze sobą, kiedy przed pięcioma laty przeprowadzała się do Anchorage. Oprócz tego nic się nie zmieniło. Tylko Joe był inny.

Kobieta, która kazała się nazywać Chynną Sinclair, wróciła. W sieni od razu zrobiło się jaśniej, jakby wniosła tam trochę słońca. Była bardzo piękna, ale zupełnie nie pasowała do dzikiej Alaski. Joe przypuszczał, że jest narzeczoną Grega, choć trudno byłoby dociec, gdzie tych dwoje mogło się spotkać. Ta kobieta z całą pewnością pochodziła z dużego miasta, gdy tymczasem Greg nigdy w żadnym mieście nie był.

Chociaż, co ja o nim wiem? pomyślał Joe. Szkoda, że go tu nie ma. Zaraz wszystko by się wyjaśniło.

- Chciałabym ci przedstawić moje dzieci – powiedziała lekko zdenerwowana Chynna. Joe nie miał pojęcia, dlaczego ona tak dziwnie się zachowuje. - Rusty ma pięć lat, a Kim - trzy.

Joe spojrział na dwie pary wpatrzonych w siebie oczu i skinął głową.

- Cześć, dzieciaki - powiedział.

- Dzieci - odezwała się Chynna. - To jest pan Greg Camden. Proszę, żebyście zwracały się do niego panie Camden.

- Chwileczkę - odezwał się Joe. Dopiero teraz zrozumiał, że ta kobieta bierze go za jego młodszego brata.

Chynna nie pozwoliła mu dokończyć.

- Jeszcze trochę sobie porysujcie - zwróciła się do swoich pociech. - Ja muszę porozmawiać z panem Camdenem.

Drżała. Joe nie miał pojęcia, dlaczego ona tak emocjonalnie podchodzi do wszystkiego. Wydała mu się taka drobna i delikatna. Przypominała srebrnego lisa, który kiedyś złapał się w sidła. Też tak się trząsał, kiedy Joe próbował go uwolnić. Wiedział, że źle robi, bo lis w każdej chwili mógł go ugryźć, a jednak czuł, że musi uwolnić zwierzę. Udało mu się. Lis jak strzała pomknął do lasu. Joe nigdy więcej go już nie zobaczył.

Dzieci w końcu zajęły się rysowaniem. Chynna spojrzała na niego bez strachu. Joe pomyślał, że może mu się tylko zdawało, że ona się denerwuje. Przecież mogło jej być zimno w tym cienkim kostiumie.

- Teraz możemy porozmawiać - powiedziała.

- Posłuchaj - zaczął Joe, chcąc jak najszybciej wyjaśnić nieporozumienie.

- Nie, ty posłuchaj - znów nie pozwoliła mu dojść do słowa. - Wiem, że postąpiłam nieuczciwie. Powinnam cię była uprzedzić. Ale... Ale co się stało, to się nie odstanie. Jeśli nas nie chcesz, po prostu powiedz. Potrafię to zrozumieć. Ale uważam, że powinieneś nam dać szansę. Nie powinieneś nas odsyłać bez możliwości...

Joe patrzył na nią oszołomiony tym potokiem słów. Zupełnie niczego nie rozumiał.

- Nie powiedziałam ci o dzieciach - ciągnęła Chynna.



Teraz wiem, że źle zrobiłam, ale chciałam, żebyś je najpierw zobaczył. Pragnęłam, żebyś je poznał, zanim zdecydujesz... To dobre dzieci. Naprawdę. Polubicie się. Przekonasz się.

Pisk w sąsiednim pokoju sprawił, że na chwilę się skuliła. Zaraz jednak z powrotem przywołała na twarz uśmiech.

- Nie znam się na dzieciach - zaczął znowu Joe.

- Wiem - przerwała mu Chynna. - Tu, na Alasce pewnie rzadko widuje się dzieci, więc nic dziwnego, że nic o nich nie wiesz.

- Ja też kiedyś byłem dzieckiem - mruknął Joe. Wciąż nie rozumiał, dlaczego ona chce go przekonać, ale przyjemnie mu było na nią patrzeć i wcale nie zależało mu na tym, żeby ta rozmowa szybko się skończyła.

- Teraz dzieci są znacznie lepsze. - Twarz jej się rozjaśniła. - Przekonasz się.

- Pewnie masz rację. - Joemu spodobało się jej poczucie humoru. - Ale nie musisz mnie przekonywać do dzieci, bo ja nie jestem Gregiem.

Chynna spojrzała na niego. Przyglądała mu się chwilę z niedowierzaniem.

- Rozumiem - powiedziała lodowatym tonem, a jej spojrzenie stało się tak samo zimne. - A więc w ten sposób chcesz się z tego wyplatać?

- Nie - roześmiał się Joe. - To szczerą prawdą. Ja nie jestem Gregiem i nie mam pojęcia, skąd ty się tu wzięłaś.

- Przyjechałam, żeby zostać twoją żoną. Już zapomniałeś?

- Żoną? - Joe oniemiał.

- No właśnie. - Chynna spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się to udało. - Takie mieliśmy plany.

- Nie, to niemożliwe. - Joe kręcił głową, usiłując powiedzieć słowami to wszystko, co w tej chwili czuł. - Nie, nie... To niemożliwe.

- Wobec tego spójrz na to. - Podała mu wyciągniętą z torebki kopertę.

W kopercie był list i zdjęcie. List pisany był ręką Grega, ale dołączona do niego fotografia przedstawiała Joego.

- Umowa to umowa, mój panie - oświadczyła Chynna stanowczo. - Zamówiłeś sobie żonę. Z całego grubego kata logu właśnie mnie wybrałeś. I oto jestem.

Joe stracił mowę. Patrzył to na Chynnę, to na swoje zdjęcie. Własnym uszom nie wierzył. Jeśli Chynna Sinclair mówiła prawdę, a wszystko na to wskazywało, to miał przed sobą żonę na zamówienie. Prawdziwą, z krwi i kości. A przecież wszyscy wiedzą, że w dzisiejszych czasach już się takich rzeczy nie robi. Czyżby odbył podróż w czasie?

- To jakiś kawał, tak? - Joe chwycił się tego pomysłu jak ostatniej deski ratunku.

Chynna popatrzyła na niego. Potem odwróciła się i, zdejmując po drodze żakiet, weszła do kuchni.

- Jest tu gdzieś jakiś fartuch? - zapytała. A ponieważ nikt jej nie odpowiedział, wzięła wiszącą na krześle dużą ścierkę do wycierania naczyń i owinęła się nią w tali.

- Co robisz? - zapytał Joe. Nie odstępował jej ani na krok. Wciąż jeszcze trzymał w dłoni kopertę. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał.

- Zrobię ci coś do jedzenia. - Spojrzała na niego chłodno.

- Dla mnie nie musisz nic gotować - zaprotestował Joe.

- Dlaczego? Nie jesteś głodny?

- Właściwie jestem, ale...

- Wobec tego zrobię ci coś do jedzenia - oświadczyła, otwierając lodówkę. - Możesz to potraktować jako swego rodzaju rozmowę w sprawie nowej pracy.

- Chyba zwariowałaś. - Joe nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Też mi się tak wydaje - powiedziała, wyjmując z lodówki jajka i kawałek bekonu. - Jednak muszę cię jakoś do siebie przekonać.

Joe oparł się o szafkę i patrzył na krzątającą się po kuchni Chynnę. Mało brakowało, a zacząłby snuć na jej temat erotyczne fantazje. Miał ochotę się uszczypnąć. Czy to możliwe, żeby marzenia się spełniały? rozważał. I to w taki sposób? Nie, nawet myśleć mi o niej nie wolno. To do niczego dobrego nie doprowadzi. Co najwyżej mogę mieć kłopoty.

- Ja nie żartowałem - zaczął się tłumaczyć. - Tylko nie mogę uwierzyć, że taka kobieta jak ty musi się zwracać do pośredników, żeby znaleźć sobie mężczyznę. To do ciebie nie pasuje.

- Sam mnie z tego katalogu wybrałeś, więc chyba coś ci się we mnie spodobało - odrzekła. - Napisałeś do mnie ten miły list i przysłałeś swoje zdjęcie. Poza tym podpisałeś umowę z agencją i opłaciłeś mi podróż. Coś ty sobie w ogóle wyobrażał? Że to tylko żarty? Że ja tu nigdy nie przyjadę?

- To nie ja, tylko Greg, mój brat - Joe po raz kolejny spróbował wyjaśnić nieporozumienie. - Ja mam na imię Joe. To nie do mnie przyjechałaś.

- Daj mi szansę - powiedziała prosząco Chynna. Wzięła Joego za rękę i patrzyła mu prosto w oczy. - Mnie i moim dzieciom. To miłe dzieci, przekonasz się. Na pewno je pokochasz. A ja będę dobrą żoną.

Joe nigdy nawet nie myślał o kochaniu jakichkolwiek dzieci, choć

musiał przyznać, że ich matka coraz bardziej go pociągała. Była spełnieniem marzeń jaskiniowca. Oto wybiera sobie człowiek z katalogu piękną kobietę i ona któregoś' dnia zjawia się u niego w domu, gotowa zostać jego żoną. Z wszystkimi konsekwencjami. Bardzo mu się ten pomysł spodobał.

Ale zanim na dobre zdążył się przyzwyczaić do tej myśli, w pokoju rozległ się dziki wrzask, a zaraz potem coś runęło na ziemię.

- Rzeczywiście, wspaniałe dzieci - mruknął Joe.

A jednak poszedł za Chynną. Uznał, że dopóki Greg się nie pojawi, on powinien tu pełnić rolę kogoś w rodzaju zastępczego męża. Choć może należało najpierw zastanowić się, jakie skutki może pociągnąć za sobą takie zastępstwo.

Wpadł mu w oko rozłożony na stole list, który Greg wysłał do Chynny. Nigdy dotąd nie czytał cudzych listów, ale też nigdy przedtem nie znajdował się w tak dziwacznej sytuacji. Ostrożnie ujął list w dwa palce, jakby się obawiał, że papier może być nasączony trucizną. Zaczął czytać.

Wprawdzie list był napisany ręką Grega, ale słowa całkiem do jego brata nie pasowały. Fragmenty o samotności i o miłości do ziemi mógł napisać Greg, ale o pokrewieństwie dusz i o wspólnym życiu - z pewnością nie.

Ciekawe, skąd on to przepisał? pomyślał Joe. Jedyna pokrewna Gregowi dusza, jaką mógł sobie wyobrazić, to wściekły rosomak.

Joe i Greg nigdy nie byli sobie bliscy. W pewnym sensie byli takimi braćmi jak Kain i Abel. Tam, gdzie Joe widział białe, Greg dostrzegał czarne. Kiedy Joe prosił o ciszę, Greg włączał radio na cały regulator. Kiedy Greg wracał późno do domu, Joe zamykał mu drzwi na klucz.

Joe zawsze wyśmiewał się z tego, co mówił Greg, za to Greg zawsze wiedział, jak zepsuć starszemu bratu najlepszy nawet humor.

Teraz, kiedy mieszkali z dala od siebie, Joe często żałował, że nie potrafili dojść ze sobą do porozumienia. Kiedyś uznał nawet, że tamte ich młodzieńcze kłótnie to dziecinada i że najwyższy czas pogodzić się z bratem. Przyjechał do domu i dopiero tu okazało się, że nic się między nimi nie zmieniło. Oprócz tego może, że Greg stał się jeszcze bardziej humorzasty i zachowywał większy dystans. Planowane odrodzenie spaliło na panewce.

A teraz ten górski samotnik postanowił się ożenić. Joe uznał, że to idiotyzm. A jednak Chynna znalazła się tu tylko dlatego, że Greg wybrał ją sobie z katalogu!

Ta piękna kobieta miałaby zostać żoną Grega? oburzył się Joe. To kompletne szaleństwo.

- Po moim trupie - mruknął. - Nie dopuszczę do tego. Muszę ją stąd jak najszybciej wyprawić.

Niestety, to akurat było najtrudniejsze do zrobienia. Jes'li nic się nie zmieniło, to jedynym sposobem wydostania się stąd drogą powietrzną było skorzystanie z samolotu pocztowego, ale trzeba znać rozkład jego lotów. Najlepiej wyjechać samochodem, jednak Joe nie mógł nikogo nigdzie odwozić. Musiał czekać na brata.

Musiał także przyjąć do wiadomości fakt, że spędzi noc pod jednym dachem z Chynna i jej dziećmi.

Z samego rana ją stąd wywiozę, postanowił. Ona nie może tu zostać. To byłoby zbyt niebezpieczne.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Chynna podniosła z podłogi mały stolik i jakiś wazon, który, na szczęście, był zrobiony z mocnego, nie tłukącego się porcelitu. Spojrzała szybko na złote rybki, wciąż jeszcze bezpiecznie pływające w akwarium. Skarciła dzieci za niegrzeczne zachowanie, a ponieważ była trochę zdenerwowana, jej słowa zabrzmiały ostrzej niż zazwyczaj. Kim spojrzała na matkę z obawą i włożyła palec do buzi. Rusty'emu zbierało się na płacz. Chynna westchnęła zrezygnowana i przytuliła synka do siebie.

Nie rozumiała, dlaczego dzieci tak fatalnie się zachowują. Zawsze są bardzo grzeczne. Chynna była pewna, że oczarują tego mężczyznę, którego miała zamiar poślubić. Wierzyła nawet, że ucieszy się, mogąc mieć za jednym zamachem całą rodzinę. A tymczasem wszystko wymykało jej się z rąk.

- Co się stało, Rusty? - zapytała Chynna, czując, że chłopca trapi coś więcej niż tylko przewrócony stolik.

- Ja go ugryzłem - wyznał Rusty i na dobre się rozplakał.

- Kogo ugryzłeś? - Chynna tuliła do siebie synka. - Grega Camdena? Rusty skinął głową.

- Jak go ugryzłeś? - Chynna niewiele z tego rozumiała. - Zębami?

Rusty odsunął się od matki, żeby mogła go widzieć, i zacisnął ząbki, demonstrując, w jaki sposób ugryzł Joego.

- O, tak - powiedział na wszelki wypadek, gdyby jeszcze miała jakieś wątpliwości, co jej pokazał. - Przepraszam, mamusiu. Naprawdę nie chciałem.

- Czy on zrobił ci coś złego? - zapytała Chynna. Przypomniała sobie biegnącego do niej synka i idącego za nim mężczyznę.

- Ja się schowałem - opowiadał chłopiec. - Myślałem, że on chce mnie złapać. No to go ugryzłem. Mocno - dodał z dumą.

- Och, Rusty! - jęknęła Chynna. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Bronilem się przed obcym. - Rusty starannie wymawiał słowa, których matka sama wielokrotnie go uczyła.

Boże wielki, pomyślała. Mój własny syn ugryzł człowieka, którego zamierzam poślubić. Dlaczego nawet nie pomyślałam o tym, że sprawy mogą się ułożyć inaczej, niż to sobie zaplanowałam? Przecież musi być jakiś sposób, żeby uratować sytuację. Trzeba jednak działać bardzo szybko.

- Wobec tego musisz przeprosić pana Camdena - powiedziała do synka. - Chodźmy.

- Koniecznie? - Rusty był przerażony.

- Koniecznie. I chciałabym, żeby to były szczerze przeprosiny.

Pociągnęła za sobą chowającego się za jej spódnicą chłopca.

Joe wciąż jeszcze studiował list, który wysłał Chynnii jego brat. Odłożył go, kiedy wraz synkiem weszła do pokoju. Patrzył na nią z dużą przyjemnością.

Nie, to naprawdę nie ma sensu, myślał. Jeśli można sobie wybrać takie чудо z katalogu, to poczta nie powinna nadążać z przesyłaniem

zamówień. Jak to możliwe, żeby właśnie mojemu bratu trafił się taki fuks?

- Rusty przyznał się, że cię ugryzł - powiedziała Chynna, stając przed Joem. Wyciągnęła zza swoich pleców opierającego się chłopca. - Chciałby cię przeprosić.

- A, tak. - Joe zdążył już zapomnieć o tamtym incydencie. Spojrzał na rękę, na której wciąż jeszcze widać było ślady zębów. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Rusty'ego. - Drobiazg. Mogę pokazać, gdzie mnie ugryzł mój brat, kiedy miał dziesięć lat. - Nie czekając na odpowiedź, podwinął rękaw koszuli i pokazał im widniejącą na ramieniu długą bliznę. - Widzisz, to się nazywa ugryzienie - powiedział z dumą. - Przegryzł mi ciało do kości. Mama musiała wezwać lotnicze pogotowie. Założyli mi trzy szwy.

Rusty patrzył na niego wielkimi jak spodki oczami. Był przerażony. Joe miał zamiar tą opowieścią zjednać sobie chłopca, w mig jednak zrozumiał, że nie tędy droga.

Nigdy nie miałem podejścia do dzieci, pomyślał. A ten chłopiec w ogóle nie powinien mnie obchodzić. Przecież nigdy więcej go nie zobaczę. No tak, ale z drugiej strony nie wiadomo, jak długo będę musiał tu siedzieć.

- Musimy porozmawiać - mruknął, opuszczając rękaw koszuli.

- Oczywiście. - Chynna skinęła głową. -. Ale najpierw nakarmię dzieci. Od rana nic nie jadły. Zrobię coś dla nas wszystkich, położę dzieci spać, a potem będziemy mogli sobie spokojnie pogadać.

Wyszła z kuchni, a za nią uczepiony ręki matki Rusty. Oglądał się za siebie trwożliwie, jakby się obawiał, że Joe mógłby pójść za nimi.



Joe westchnął. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak ten wrażliwy chłopiec porozumie się z Gregiem. Jego brat nie wiedział, co to takt czy wyrozumiałość. Joe zawsze uważał go za głupkowatego samotnika, człowieka gór, który nie potrzebuje towarzystwa ludzi. Fakt, że zamówił sobie kobietę, był dla Joego prawdziwym szokiem. Znał swego brata na tyle, aby wiedzieć, że kobieta, która pojawiła się tu z dwójką dzieci, postąpiła co najmniej nieroztropnie. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli uda jej się stąd uciec przed powrotem Grega.

A właśnie, pomyślał Joe. Gdzie on jest? Dlaczego nie przyszedł powitać swojej przyszłej żony?

Raz jeszcze rozejrzył się po kuchni. Było tu stosunkowo czysto. Wprawdzie w zlewie stały nie pozmywane naczynia, ale Greg musiał je tam zostawić niedawno. Joe otworzył schowek i stwierdził, że namiot i maszyna gazowa zniknęły. Wiedział, że jeśli Greg rano wyszedł w góry, to prawdopodobnie wróci dopiero za kilka dni.

- I co ja mam przez ten czas robić z tą twoją narzeczoną, idioto? - mruknął poirytowany.

Zamiast odpowiedzi usłyszał za plecami kroki Chynny.

- Zaraz położę dzieci spać - powiedziała, spoglądając na niego chłodno. - Powiedz mi tylko, w którym pokoju mają nocować.

- W którym pokoju? - powtórzył Joe. Nie przypuszczał, że Chynna będzie chciała zostać. Szczególnie że on przez cały czas zastanawiał się nad tym, jak by ją stąd najprędzej wyprawić. - Poczekaj. Muszę się rozejrzeć.

W domu były trzy sypialnie. W dużej sypialni rodziców wciąż jeszcze stało to samo wielkie, małżeńskie łóżko. Obok tej sypialni znajdował się pokój nazywany przez jego matkę zielonym, który przegna-

czony był dla gości. Było tam najwygodniejsze łóżko i najładniejsze meble. W sypialni na końcu korytarza, którą w dzieciństwie dzielił z Gregiem, też na pewno stały te same łóżka. Poszli na górę.

- Możesz położyć dzieci tutaj - powiedział Joe, otwierając drzwi sypialni rodziców.

- Dobrze. - Chynna rozejrzała się po pokoju i skinęła głową. - A gdzie ja mam spać?

Joe już miał zamiar coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Przecież ona myśli, że jestem Gregiem, przypomniał sobie. Zdaje jej się, że jesteśmy zaręczeni. Nie mam pojęcia, czego po mnie oczekuje. No cóż, muszę ją chyba o to zapytać. Nie mam innego wyjścia.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz spać razem ze mną? - zapytał. Chciał, żeby to było śmieszne, tymczasem pytanie zabrzmiało tak, jakby sama myśl o spaniu z kobietą napawała go przerażeniem.

- Jasne, że nie. - Chynna uśmiechnęła się do niego. - W każdym razie na pewno nie przed ślubem.

Joe poczuł się jak głupiec. Niepotrzebnie ją o to pytał. Równie dobrze sam mógł się domyślić odpowiedzi.

- Czy mogę zająć ten pokój? - zapytała, otwierając drzwi pokoju gościnnego.

- Chyba możesz - mruknął Joe. - Przynajmniej do jutra.

- Doskonale - ucieszyła się Chynna. Udała, że nie usłyszała ostatniego zdania. - Potem się rozpakuję.

Joe chciał jej powiedzieć, że może za wcześnie na rozpakowywanie, ale zanim zdążył się odezwać, Chynna zeszła na dół. Pokręcił więc tylko głową, zły na siebie, że nie potrafił od razu jasno i wyraźnie

powiedzieć, o co mu chodzi.

- Nie zostaniesz tutaj - powiedział głośno, ale nikt go nie usłyszał.

Dzieci Chynny były dziwne. Dziewczynka, która, nazywano Kimmie, nie mogłaby jeść, nawet gdyby chciała, bo ani na chwilę nie wyjmowała paluszka z buzi. Rusty za to jadł szybko, zerkając przy tym na Joego, jakby się obawiał, że jeśli się nie pospieszy, ten wielki mężczyzna zabierze mu obiad. Chynna usiłowała stworzyć miły nastrój podczas posiłku, ale jej wysiłki spełzły na niczym.

- Bardzo tu pięknie - powiedziała. - Z samolotu widziałam ogromne połacie lasów.

Joe skinął głową. Jego uwagę przykuły wypełnione jedzeniem policzki Rusty'ego. Chłopiec zachowywał się jak chomik, który przygotowuje się na długą i mroźną zimę.

- W zimie jesteście chyba całkiem odcięci od świata - ciągnęła Chynna. - Pługi śnieżne pewnie tu nie docierają.

- Nie docierają - potwierdził Joe.

Patrzył, jak Kimmie, wciąż z palcem w buzi, wzięła w wolną rękę ziarenko zielonego groszku i dokładnie roztarła je sobie na nosku. Skrzywił się i spojrzał na Chynnę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ona pozwala dzieciom na takie paskudne zachowanie się przy stole.

- Czy ona nie powinna... - zaczął, ruchem głowy wskazując Kimmie.

Ale Chynna już ocierała chusteczką upaprany nosek córeczki. Miała przy tym taką minę, jakby robiła to codziennie.

- To będzie dla nas zupełnie nowe doświadczenie - powiedziała.

- Dzieci przez całe życie mieszkały w mieście. Ja zresztą też.  
- W jakim mieście? - zapytał Joe, nie z ciekawości, lecz dla podtrzymania rozmowy.

- W Chicago.

- Nieźle - mruknął z roztargnieniem Joe. Jego uwagę wciąż pochłaniały niezwykle obyczajne potomstwa Chynny. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek w życiu zobaczy dzieci, które w ten sposób zachowują się podczas posiłku. Rusty właśnie wypluł na talerz sporą porcję jajecznicy. Miał przy tym taką minę, jakby był święcie przekonany, że został otruty. Joe jęknął. Całkiem stracił apetyt. Chynna szybko zabrała ze stołu talerz i podała synkowi szklankę mleka. Chłopiec nawet słowem się nie odezwał na temat tego, co przed chwilą zrobił.

- Zauważyłam, że nie masz telewizora - powiedziała, ścierając z noska Kimmie następne ziarenko groszku. Przytrzymała rączkę, którą miała sięgała po kolejne ziarenko.

Joe pomyślał, że dobrze się stało, iż Kimmie choć jedną rękę ma zajęętą trzymaniem palca w buzi. Gdyby obie miała wolne, nie wiadomo, co by sobie rozgniotła na twarzy.

A więc to tak wygląda posiadanie dzieci, pomyślał przerażony. Boże, jak to dobrze, że dotąd nie dałem się w to wrobić!

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że Chynna o coś pytała. Chyba o telewizor.

- Nie, nie ma tu telewizora - powiedział. - Za daleko od nadajnika. Żaden sygnał się nie przebije.

- To bardzo dobrze - ucieszyła się Chynna. - Telewizja jest głównym nośnikiem tego wszystkiego, od czego chciałam odizolować moje dzieci.

- Nie kpij ze mnie - prychnął Joe. Zastanawiał się, czy nie powinien pójść na długi spacer. Mógłby wrócić dopiero wtedy, kiedy ta kobieta położy swoje potworne dzieci do łóżka.

- Przywieźliśmy ze sobą kasety z ulubionymi piosenkami dzieci - mówiła Chynna. - Widziałam, że masz magnetofon, więc będzie je na czym odtwarzać.

- Ulubione piosenki dzieci -jęknął przerażony Joe. Musiał wyjść z tego domu, zanim zacznie się ta przekłeta piosenka o białym wielorybie. Jeden z jego przyjaciół miał dwuletnie dziecko, które na okrągło słuchało tej właśnie piosenki. Do Joego ta melodia też czasem wracała. W koszmarnych snach.

Chynna zauważyła malujące się na jego twarzy przerażenie. Pomsutniała. Nic w tym nowym miejscu nie układało się, tak, jak się spodziewała, ale przecież musiała sobie jakoś poradzić. Na szczęście przywykła do trudności i byle co nie mogło jej załamać. Ani tym bardziej zniszczyć planów na przyszłość. Chodziło przecież o szczęście jej dzieci. Postanowiła sobie, że choćby się paliło i waliło, to ona zmusi tego mężczyznę do małżeństwa, które przecież obiecał jej z własnej i nie przymuszonej woli.

Szkoda że dzieci tak paskudnie się zachowują, pomyślała. Ale zaraz potem w jej sercu wezbrała fala czułości do tych dwóch małych istotek. Biedactwa. Czegóż się po nich spodziewać? Wyrwałam je z rodzinnego domu, przewiozłam przez cały kontynent, a w końcu zniknęłam w zrujnowanym domu na pustkowiu. Na dodatek jeszcze wymagam od nich, żeby były grzeczne. Nie ma się co dziwić, że są wystraszone i kompletnie wykończone. Muszę je zaraz położyć spać.

- Telefonu też nie ma - powiedział Joe.

Tym razem Chynna się wystraszyła. Ale po chwili przypomniała sobie, że po to przyjechała w to odległe miejsce, żeby żyć z dala od cywilizacji. Czasami zastanawiała się nawet, czy to nie przez te nowoczesne udogodnienia ludzie w miastach całkiem powariowali. Chciała całkowitego przeciwieństwa miejskiego życia, no i ma dokładnie to, na czym jej zależało.

- Do tego też się przyzwyczaimy - powiedziała stanowczo.

A więc nie będzie sobie można zamówić pizzy, ale nie zadzwonią także z banku ani nie będą jej namawiać na kupno biletów na bal policjantów.

- Teraz was położę - powiedziała do dzieci, rozwiązując śliniaczek Kimmie, choć dziewczynka nie przełknęła jeszcze ani kęsa.

Kimie spojrzała na matkę wielkimi jak spodki oczkami i z całą mocą przyssała się do trzymanego w buzi paluszka.

- A mnie się nie chce spać - marudził Rusty. Tarł oczy piąstkami i ziewał. Chynna doskonale wiedziała, że za chwilę padnie.

Bez słowa powycierała ubrudzone buzie, po czym poprowadziła dzieci do sypialni. Już na dole zaczęła im śpiewać kołysankę, którą oboje znali od urodzenia. Dotąd ta piosenka działała na dzieci jak czar: gdy tylko słyszały jej melodie,, od razu robiły się śpiące.

Joe z podziwem patrzył, jak Chynna doskonale radziła sobie ze swoimi dwoma diabełkami. Nijak jednak nie mógł sobie wyobrazić Grega w roli głowy tej rodziny. Koniecznie musiał przekonać Chynnę, że powinna wrócić do Chicago. Należało się tylko zastanowić, jak tego dokonać. Nie spodziewał się trudności. Był przecież prawnikiem i nie

takie sprawy z ludźmi załatwiał.

- Dzieci już śpią - powiedziała Chynna, wrywając go z zamyślenia.

- Teraz możemy porozmawiać.

- Świetnie sobie z nimi radzisz - pochwalił Joe. Wstał, zebrał ze stołu talerze i wstawił je do zlewu.

- Siadaj - zaproponował, odsuwając Chynnie krzesło. Widać było, że bardzo ją tym gestem zadziwił.

- Najpierw sprawdzę, czy wszystko dobrze zrozumiałem - powiedział, siadając naprzeciwko niej przy stole. - Zgłosiłaś się do agencji, która wydaje katalog dla mężczyzn potrzebujących żony. Greg odpowiedział na twoje ogłoszenie i wysłał ci pieniądze, żebyś opłaciła podróż na Alaskę. Przywiozłaś ze sobą dzieci, o których istnieniu wcześniej mu nie powiedziałaś. Miałaś nadzieję, że przyjmie cię z dobrodziejstwem inwentarza. Ale kiedy przyjechałaś, nikogo w domu nie było. Zgadza się?

Patrzyła na niego przez długą chwilę. Zastanawiała się, dlaczego on wciąż udaje, że nie jest Gregiem. Przypuszczała, że chce się w ten sposób uwolnić z ciążących na nim, mocą podpisanego kontraktu, zobowiązań. Właściwie nie bardzo się nawet dziwiła. Obejrzał sobie jej dzieci i wpadł w panikę. Teraz zechce się jej pozbyć i pewnie zamówi sobie inną kobietę, tym razem nie obarczoną dziećmi.

No cóż, doskonale go rozumiem, myślała Chynna. Zresztą tego się właśnie obawiałam. Ale nie poddam się bez walki. Potrzebuję tylko trochę czasu. On powinien poznać mnie i moje dzieci. Przekona się, że może mieć całkiem sympatyczną rodzinę. Tylko skąd mam wziąć tyle czasu?

- Mniej więcej - potwierdziła. Postanowiła, że nie będzie się z nim

sprzeczać. Jeśli chce udawać własnego brata, to niech mu będzie. - Pomiñałeś jedynie to, że mnie bardzo zależy na tym, aby nasze małżeństwo było udane.

Joe czuł, że powiedziała to szczerze i rzeczywiście jej na tym zależy, ale nie miał zamiaru dać się wciągnąć w tę grę.

- Sama wiesz, że to nie ma sensu - powiedział.

- Czyżby? - zapytała.

- Jasne - roześmiał się Joe. - Jesteś piękną kobietą i nie uwierzę, że możesz mieć jakikolwiek problem ze znalezieniem sobie mężczyzny.

- Nigdy nie twierdziłam, że mam problemy ze znalezieniem sobie mężczyzny - odrzekła wyniosłe.

- No więc po co to zrobiłaś? Dlaczego zawarłaś umowę z moim bratem?

- Miałam powody - odparła po chwili wahania. - Co nieco mogę ci o tym opowiedzieć, ale nie licz na to, że powiem ci wszystko o moich marzeniach i nadziejach. Przynajmniej nie teraz.

- Dlaczego nie uprzedziłaś' Grega, że masz dzieci? - zapytał Joe z przekąsem.

- Wiedziałam, jak byś zareagował - odparła bez namysłu. - Chciałam, żebyś je najpierw poznał i nie odrzucał ich zbyt pochopnie.

- Nie jestem Gregiem - powiedział Joe, uważnie jej się przyglądając. Nic z tego, co mu powiedziała, nie trzymało się kupy. Musiała mieć jakiś ważny powód, żeby wystawić się na sprzedaż.

- Ach, tak. Nazywasz się Joe. Dobrze pamiętam? - poprawiła się nieszczerze. Ton jej głosu, lepiej niż słowa, mówił, co sądzi o jego pociesznej maskaradzie.



- Owszem, Joe - potwierdził. - Od urodzenia. Greg jest moim bratem. Naprawdę dobrze go znam i wiem, że on się na męża nie nadaje.

Chynna spojrzała na niego. Coraz bardziej się jej podobał. Miał poczucie humoru i był bardzo sympatyczny. Taki człowiek powinien kochać dzieci. Rozumiała, dlaczego on dotąd nie zakochał się w jej pociechach. Wiedziała jednak, że za dzień, dwa, wszystko się zmieni.

Gdyby mi dał trochę czasu, westchnęła w duchu.

- Nie nadaje się na męża? - powtórzyła jego słowa. - Dlaczego?

Joe wzruszył ramionami. Nie w smak mu było wyjawiać sekrety rodzinne tej obcej kobiecie. Jednakże sytuacja, w jakiej się znalazł, sprawiła, że nie miał wyboru.

- Nie chodzi o to, że coś z nim jest nie w porządku - zaczął - tylko, widzisz, on jest prawdziwym człowiekiem Alaski. Rozumiesz? Sto lat temu byłby poszukiwaczem złota, a sto pięćdziesiąt lat temu schodziłby z gór raz do roku po jakieś zaopatrzenie. Ten człowiek ani psychicznie, ani emocjonalnie nie jest stworzony do dbania o rodzinę.

- Czyżby? Wobec tego dlaczego mnie wybrał? Dlaczego przysłał mi pieniądze na podróż? - Z leżącej na stole koperty wyjęła zdjęcie Joego. - I dlaczego przysłał mi to zdjęcie? Czemu napisał to wszystko? Może wcale nie znasz go aż tak dobrze, jak ci się wydaje?

Joe patrzył na własne zdjęcie. Miał ochotę porządnie zdzielić swego niepoprawnego brata. Ta sytuacja nie byłaby aż taka beznadziejna, gdyby Greg wysłał jej swoje zdjęcie, zamiast używać Joego w charakterze przynęty.

- Tego rzeczywiście nie umiem ci wytłumaczyć - powiedział. - Może

zamarzyło mu się mieć przy sobie piękną kobietę, a potem stchórzył.

- Tak, pewnie masz rację - powiedziała, chowając zdjęcie z powrotem do koperty. - Ale nie ma się czego bać. Przyjechałam. Możesz spełnić swoje marzenia.

- Naprawdę nic z tego wszystkiego nie rozumiałaś'. Uważam, że powinnaś zabrać dzieci i uciekać stąd, dopóki jeszcze możesz. Wyjedź. Wsiadaj do samolotu i wracaj do domu.

- Pilot, który nas tu przywiózł z Anchorage, powiedział, że wróci dopiero za cztery dni - oświadczyła Chynna. - Nawet gdybym chciała, nie moglibyśmy teraz stąd wyjechać.

Joe westchnął. Zdążył już zapomnieć, jak wygląda życie w takim dzikim zakątku świata. Człowiek łatwo przyzwyczaja się do wygod życia w dużym mieście.

- No cóż, wobec tego sam was zawiozę do Anchorage. Widać było, że ten pomysł nie przypadł mu do gustu.

Chynna uśmiechnęła się.

- Nie przejmuj się.- powiedziała. - Nigdzie nie musisz nas odwozić. Zostajemy. Jesteśmy ci potrzebni.

- Jak dziura w moście - mruknął do siebie Joe.

Wstał i wyszedł z domu. Miał już teraz tylko jedno wyjście: musiał znaleźć Grega albo przynajmniej dowiedzieć się, gdzie on się podziawa. Dobrze byłoby też zorientować się, kiedy ma zamiar wrócić do domu i zająć się tą bandą, która się tam osiedliła.

- Dokąd idziesz? - zawołała Chynna, wychodząc za nim naganek.

- Trochę się rozejrzę. Może uda mi się znaleźć Grega. Spodziewał się, że zobaczy malujące się na jej twarzy zniecierpliwienie, tymczasem dostrzegł jedynie strach.

- Ale chyba wrócisz?

- Jasne, że wrócę.

Ruszył w kierunku samochodu. Nie chciał patrzeć na Chynnę. Wciąż uważała, że on tylko udaje, że nie jest Gregiem. Myślała sobie pewnie, że jest trochę zwariowany, gdyby jednak poznała prawdziwego Grega, dopiero by się przekonała, co znaczy to określenie.

Może zresztą źle go oceniam, pomyślał Joe. W końcu nie widziałem Grega parę lat. A przecież istnieje możliwość, że przez ten czas zmienił się w idealnego obywatela. Niewielka wprawdzie, ale jednak istnieje.

Usiadł za kierownicą eleganckiego sportowego samochodu, który sobie wypożyczył w Anchorage. Od razu też pomyślał, jak bardzo ten samochód nie pasuje do dzikiej okolicy, po której przyszło mu się poruszać.

- No i właśnie dlatego to kocham - powiedział do siebie Joe.

Ominął wielką dziurę i wjechał na bitą drogę prowadzącą do miejsca zwanego „miastem”. Była to w istocie niewielka osada z pocztą i sklepem wielobranżowym, w której Joe się urodził.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Miasteczko wyglądało tak samo jak dawniej, było tylko o dziesięć lat starsze i bardziej zniszczone. Tuż obok sklepu Annie stanął okazały budynek. W oknie wisiał duży szyld, który głosił: „Paznokcie - Nancy”. Joe nie znał żadnej Nancy i szczerze wątpił, czy w całej osadzie jest choć jeden człowiek, o którego paznokcie mogłaby zadbać kobieta o tym imieniu.

Wbiegł na schodki prowadzące do sklepu. Z impetem otworzył drzwi.

Tam przynajmniej nic się nie zmieniło. Towary, jak dawniej, ułożone były na sięgających sufitu półkach, starzy bywalcy siedzieli na ustawionych wokół stołu krzesłach, a za ladą stała Annie Andrews i notowała coś w wielkiej księdze.

Usłyszawszy trzaśnięcie drzwiami, podniosła głowę.

- Joe Camden! - zawołała zaskoczona i uradowana zarazem. W oczach siwowłosej pani widać było wzruszenie. - Co cię tu do nas sprowadza, człowieku?

- Zew krwi - zażartował Joe. - Zawsze mi powtarzałaś, że wrócę na Alaskę.

- Ano, mówiłam, - Annie z zadowoleniem kiwała siwą głową. - A ja przecież zawsze mam rację.

- Zgadza się - potwierdził Joe.

- Będiesz mieszkał z bratem w tym waszym starym domu? – zapy-

tała Annie. Sama perspektywa takiego rozwiązania budziła w niej rozbawienie.

- Raczej nie. Właściwie to wpadłem tu tylko na chwilę. Jadę do mamy.

- Co u niej słyhać? Pisze do mnie co roku na Boże Narodzenie, ale to już nie to samo co mieć ją o kilometr od siebie. Twoja matka była jedną z niewielu tutejszych kobiet, z którymi można się było w ogóle dogadać.

- U mamy wszystko w porządku. Jest tylko trochę starsza niż kiedyś i odrobinę się o nią martwię. Chciałbym namówić Grega, żeby ze mną do niej pojechał. Ale wiesz, jaki on jest. Mdli go na samą myśl o mieście.

- Za to ty uwielbiasz miasta.

- Znasz mnie jak zły szeląg - uśmiechnął się Joe.

- Jednego nie rozumiem - zamyśliła się Annie. - Jak ty, urodzony i wychowany na Alasce, możesz wytrzymać w tej Kalifornii. Przecież sam wiesz najlepiej, że twoje miejsce jest tutaj.

- Tutaj? - Joe głośno się roześmiał. - Już nie. Teraz jestem prawnikiem i mieszkam w dużym mieście. Zawsze o tym marzyłem, pamiętasz?

- Pamiętam. Dobrze pamiętam. - Annie posmutniała. - Mówiłeś, że chciałbyś mieszkać w dużym mieście. A ja ci powtarzałam, że szybko cię to miejskie życie znudzi.

- Więc chyba jednak raz w życiu się pomyliłaś.

- Na pewno nie. - Annie była tak pewna siebie jak zawsze. - Nigdy się nie mylę w sercowych sprawach. To tylko ty jeszcze się nie obudziłaś.

- Może masz rację - zgodził się Joe. Nie dlatego, żeby tak myślał, ale uznał, że nie ma sensu sprzeczać się ze starszą panią. - Widzę, że

miasto rozwija się jak szalone. Zafundowaliście sobie nawet salon pielęgnacji paznokci. Skąd tyle szczęścia naraz?

- Nancy zjawiała się tu mniej więcej rok temu - opowiadała Annie. - Mówi o sobie, że jest eko-feministką. Chciała polować, łowić ryby i żyć na łonie natury. Znasz ten typ? Nie mają pojęcia o naturze i jak tylko słońce schowa się za chmury, popadają w rozpacz. -Roześmiała się z własnego dowcipu. -Okazało się, że ani polowanie, ani łowienie jej nie wychodzi. Strzelby bała się jak ognia, a na ryby nawet patrzeć nie mogła. Twierdziła, że są śliskie i obrzydliwe. Ale się nie poddała. Pewnie dlatego, że nie chciała przyznać się do porażki przed tymi swoimi eko-feministkami. Jednym słowem - została. Tyle że teraz zajmuje się tym, na czym się zna.

- Paznokciami - domyślił się Joe.

- Właśnie. Robi manicure mężczyznom i inne takie bzdury.

- Dajże spokój. Ilu mężczyzn w okolicy może mieć ochotę na manicure?

- Jak tylko otworzyła ten swój salon, walili do niej drzwiami i oknami. Nawet ustawiali się w kolejce. Szkoda, że nie mogłeś tego zobaczyć.

- Pewnie jest ładna, co? - zapytał Joe.

- Odkąd bliźniaczki Babbitt wyjechały na lato do pracy w Disneylandzie i dotąd nie wróciły, ona jest najładniejszą dziewczyną w okolicy.

Joe skinął głową. Bliźniaczki Babbitt były o jakieś' pięć lat starsze od niego. Dokładnie pamiętał dzień, w którym stąd wyjeżdżały. Mężczyźni z Dunmovin przez wiele miesięcy nie mogli tego odzłować.

- Zrobię ci coś do jedzenia - zaproponowała Annie.

- Dzięki, ale mam teraz inne sprawy na głowie. - Joe podziękował jej uśmiechem. - Wiesz może, gdzie mógłbym znaleźć Grega?

- Rozumiem, że w domu już byłeś. Zaraz, zaraz - coś jej się przypomniało. - Jakiś czas temu wpadł do mnie Billy McGee. Mówił, że samolotem pocztowym przyleciała jakaś kobieta. Chciała się widzieć z Gregiem. Podobno przywiozła ze sobą dwoje małych dzieci.

- Wszystko się zgadza - potwierdził Joe.

- Billy mówił, że ona ma wyjść za mąż za Grega - ciągnęła Annie. - To prawda?

Joe westchnął ciężko. Nie chciał, żeby ta plotka tak prędko rozniosła się po okolicy, ale na Alasce zawsze czuł się bezradny.

- Sądziłem, że zamawianie żon z katalogu wyszło z mody, kiedy wynieśli się stąd poszukiwacze złota - powiedział przyciszonym głosem. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że jakaś kobieta mogłaby zrobić coś podobnego.

- Co ty tam wiesz - prychnęła Annie. - Znam mnóstwo facetów, którzy z chęcią zamówiliby sobie z katalogu żonę. Tak samo jak zamawiają narzędzia czy wyjściowe ubrania. Wystarczy tylko wybrać numer, przysłać czek i masz swoją kobietę, na dobre i na złe.

- Przeważnie na złe

- A bo ja wiem. Ci, którzy twierdzą, że pobrali się z miłości, też się rozwodzą. Wcale nie rzadziej niż pozostali.

- Trafiłaś w dziesiątkę - potwierdził Joe. Pochylił się nad kontuarem i powiedział tak cicho, żeby tylko Annie mogła go usłyszeć: - Ona twierdzi, że przyjechała, ponieważ Greg ją sobie zamówił. Może ty coś o tym wiesz?

- Zupełnie nic. - Annie pokręciła głową. - Greg nigdy mi się nie zwierzał.

- Przecież wiem. - Joe się roześmiał. - Sądziłem, że może trafiła do ciebie jakaś korespondencja.

- Właściwie to masz rację - zastanowiła się Annie. - Przypominam sobie, że jakiś czas temu krążyło tu sporo listów. Greg co miesiąc przychodzi płacić rachunki. Poza tym nigdy go nie widuję. Aha, kiedy przywożą miesięcznik „Pole i Strumień”, od razu się po niego zjawia. Ale przez pewien czas przychodził tu prawie codziennie. Zaraz, zaraz. - Annie przypominała sobie coraz więcej szczegółów. - Raz nawet słyszałam, jak mówił o jakiejś dziewczynie, z którą wkrótce się ożeni. Nie bardzo się tym przejęłam. Wiesz, że twój brat lubi...

- Kłamać - dokończył Joe, używając słowa znacznie ostrzejszego niż to, którego chciała użyć Annie.

- Nie przesadzaj. Aż tak źle z nim nie jest. Powiedziałabym raczej, że lubi sobie trochę upiększyć prawdę. Dramatyzuje życie.

- To fakt - skrzywił się Joe. - Dzięki temu mam w domu pannę młodą. Tylko pana młodego nigdzie znaleźć nie można. Gdybyś przypadkiem zobaczyła Grega, to mu powiedz, że ma się natychmiast zameldować w domu i wypić to piwo, którego nawarzył.

- Na pewno mu to powtórzę. - Annie odprowadziła nieoczekiwanego gościa do samych drzwi. - Wpadnij do mnie koniecznie, zanim stąd wyjedziesz.

- Obiecuję - odrzekł Joe. Niespodziewanie dla Annie i nawet dla samego siebie, pochylił się i pocałował starszą panią w rękę. - Do zobaczenia, panno Annie - powiedział tak, jak robił to, kiedy był małym chłopcem.



- Ty mały diable - mruknęła Annie, czerwieniąc się po same uszy.

Ale Joe już tego nie słyszał. Zbiegł po schodkach, wszedł do samochodu i odjechał.

Dziwnie było wejść do domu i usłyszeć, jak ktoś krząta się po kuchni. Było prawie tak jak dawniej. Ale jeszcze dziwniejsze wydały mu się głosy bawiących się w pokoju dzieci. To już w niczym nie przypominało dawnych czasów. Joe i Greg nigdy nie bawili się razem jak Kimmie i Rusty. Przeważnie się kłócili.

Joe nie wszedł do pokoju, tylko z oddali obserwował dzieci. Rozpięły stare prześcieradło na dwóch krzesłach i urządziły sobie z niego namiot. Kimmie siedziała pod baldachimem ze skrzyżowanymi nogami. Kołysała się i śpiewała piosenkę. Rusty udawał samolot i warcząc, biegał po pokoju. Co jakiś czas zatrzymywał się przed akwariem i mówił coś do pływających w nim rybek. Potem znów z warkotem pędził do piszczącej z zachwytu Kimmie.

A więc to tak bawią się szczęśliwe dzieci? pomyślał Joe. Właśnie zdał sobie sprawę z tego, że zupełnie nic nie wie o dzieciach. Zwłaszcza szczęśliwych. On i brat z pewnością do nich nie należeli.

Rusty pierwszy go zauważył. Zamarł. Kimmie odwróciła się, spojrzała na Joego i natychmiast wsadziła sobie palec do buzi.

- Cześć, dzieciaki. - Joe poczuł się niezręcznie.

Dzieci stały jak wrośnięte w ziemię i nie spuszczały z niego oczu. Odniósł wrażenie, że gotowe były uciec, gdyby podszedł do nich choćby o jeden krok za blisko. Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś

tematu do rozmowy, ale nic mu do głowy nie przychodziło. Po chwili jego wzrok padł na akwarium.

- Jak wam się podobają rybki? - zapytał. - Fajne, nie? Rusty zerknął na akwarium i skinął głową.

- Jak mają na imię? - zapytał.

- Hm - zamyślił się Joe. Skąd miał wiedzieć, jak mają na imię rybki Grega i czy w ogóle jakoś je nazwał. Ale przecież każde domowe zwierzę ma jakieś imię, więc rybkom też trzeba było coś wymyślić. - Złotek i Pirania - powiedział. - Lubicie rybki?

Dzieci milczały, ale patrzyły na niego, jakby był jakimś dziwolągiem. Jemu zaś te oględziny wcale się nie podobały.

No cóż, pomyślał Joe, najwyraźniej nie mam właściwego podejścia do dzieci. Zresztą skąd mam je mieć? Szkoda tylko, że one tak strasznie mnie nienawidzą. Dobrze, że z kobietami nie mam żadnych problemów, bo gdyby i Chynna zaczęła się na mnie bocyć, to chyba bym stąd uciekł.

Od razu lepiej się poczuł. Bez żalu odwrócił się plecami do dzieci i pomaszerował do kuchni.

Chynna stała przy zlewie. Wyglądała teraz zupełnie inaczej. Zmieniła swój biały kostiumik na dżinsy i obcisły sweterek dokładnie podkreślający jej zgrabną figurę. Joe wiedział, że nie powinien jej się zbyt długo przyglądać. Mogłoby się to okazać niebezpieczne.

- Skąd wiedziałaś, że będziesz lubiła dzieci? - zapytał, siadając za stołem. - To znaczy, zanim się urodziły. Skąd miałaś tyle odwagi, żeby w ogóle je mieć?

Spojrzała na niego zaskoczona. Przez chwilą nad czymś się zastanawiała, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Co ci tym razem zrobiły? - zapytała, opierając dłoń na biodrze.

- Nic. Zupełnie nic - odparł w pierwszej chwili. Potem jednak jego prawdomówność zwyciężyła. - Właściwie to zrobiły. Gdyby były trochę starsze, powiedziałbym, że mi zrobiły afront, ale ponieważ to tylko dzieci...

- Dzieci też potrafią złamać człowiekowi serce - powiedziała cicho Chynna. - Są takie ufne i niewinne. Nie umieją jeszcze udawać i mówią wszystko, co myślą. To może być bolesne.

- Owszem - potwierdził Joe. - Ty sobie z nimi tak doskonale radzisz.

- Nic podobnego. - Chynna znów się roześmiała. - Popełniłam mnóstwo błędów i pewnie jeszcze niejedną zrobię.

- To dla mnie zbyt skomplikowane. - Joe pokręcił głową. - Chyba nigdy nie zdecyduję się na dzieci.

Uśmiech znikł nagle z jej twarzy jak krople letniego deszczu z nagrzanej jezdni. Nie tak wyobrażała sobie rozwój sytuacji.

- Dzieci są wspaniałe - powiedziała szybko. - Trzeba je tylko poznać.

- O nie, dziękuję bardzo!

- Zobaczysz. - Chynna miała poważną minę. - Sam się przekonasz, że można je polubić.

Joe spojrział w jej ciemne oczy i coś, co tam zobaczył, lub raczej to, czego w nich nie ujrzał, sprawiło, że poczuł się nieswojo.

- Posłuchaj... - zaczął. Czuł, że koniecznie musi jej wszystko wytłumaczyć. Przede wszystkim zaś zmusić ją, żeby przyjęła do wiadomości, że on nie jest Gregiem i że nigdy nie polubi jej dzieci. Zresztą

szczerze wątpił, żeby Gregowi te dzieci przypadły do gustu. Jakikolwiek dzieci. Musiał jej także uświadomić, że popełniła błąd, przyjeżdżając na Alaskę.

Ale Chynna odwróciła się do niego plecami i zaczęła szorować patelnię. Jakby czytała w jego myślach i nie chciała o niczym słyszeć. Słowa uwięzły mu w gardle.

Rozejrzał się po kuchni. Dopiero teraz zauważył, że została wysprzątana. Kuchenne blaty lśniły czystością, a poupychane po kątach pudła z żywnością zniknęły. Nawet stary słój na ciasteczka był wyszorowany do czysta.

- Naprawdę nie musisz tego robić - powiedział Joe.

- Być może - odparła. - Ale ktoś wreszcie musiał tu posprzątać.

- Nie pamiętam, żeby ta kuchnia kiedykolwiek tak dobrze wyglądała.

- Naprawdę? Ja dopiero zaczęłam sprzątać.

Joe nie mógł znieść tej całej sytuacji. Wstał i podszedł do Chynny.

- Wysłuchaj mnie wreszcie - powiedział. - Nie powinnaś tego robić. To nie twoja sprawa. Jesteś' tu gościem i...

- Nie jestem gościem - przerwała mu. - Już ci mówiłam, że szukam pracy. Chciałabym sprawić, żebyś nie mógł się beze mnie obejść.

- Żebym się nie mógł bez ciebie obejść? - powtórzył trochę nieprzytomnie Joe. To była koszmarna perspektywa. Wyszedł z kuchni, nie wiedząc, co ma zrobić ani co powiedzieć.

Przez chwilę stał w sieni, a potem wszedł na schody. Ale wrażenie, jakie zrobiła na nim Chynna, nie zniknęło. Joe czuł się bardzo dziwnie,

myśląc o tym, że taka kobieta jak ona musi walczyć o miejsce w jego sercu...

Zaraz, zaraz, pomyślał. Przecież to kompletna bzdura. Ona nie o mnie walczy. Myśli, że jestem Gregiem i to o jego względy tak bardzo się stara. To Greg decyduje, co z nią dalej będzie. Ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

Pełen niewesołych myśli i wcale nie uspokojony, wszedł do sypialni, którą niegdyś dzielił z bratem. Raz jeszcze wróciła do niego przeszłość.

- Czy ty nigdy niczego nie wyrzucasz, Greg? - mruknął, rozejrzawszy się po pokoju.

Na łóżkach leżały te same stare narzuty, a w rogu pokoju stał stary bujany fotel. Zakurzony plakat Joego, przedstawiający drużynę L.A. Lakers, wciąż wisiał na tym samym miejscu. A na półce leżała stara piłka do koszykówki. Tylko powietrza już w niej nie było i wyglądała jak rozdeptany kapeć.

Joe spojrzał teraz na tę część pokoju, która zawsze należała do jego brata. Kiedy Greg był w ósmej klasie, zaczął zbierać groty od strzał. Gablotka z tymi grotami wciąż jeszcze wisiała na ścianie. W pokoju pojawił się tylko odtwarzacz płyt kompaktowych. Obok niego na nocnym stoliku leżał katalog biura matrymonialnego. Ten sam, z którego Greg wybrał sobie żonę.

Joe wziął ten katalog i przeszedł na swoją stronę pokoju. Usiadł na brzegu łóżka i zaczął przerzucać strony. Czuł się niezręcznie, trochę głupio, ale nie mógł się powstrzymać.

Przyglądał się twarzom kobiet. Niektóre sprawiały wrażenie obłąkanych, inne były przerażone lub zdesperowane. Twarze kobiet pochodzących z biednych krajów były zacięte, zdeterminowane. Widać było, że ich właścicielki nade wszystko pragną uciec od nędzy i spró-

bować życia w bogatym kraju. Joe doskonale rozumiał, dlaczego chciały sprzedać' wolność i kupić sobie szansę lepszego życia. To było proste. Ale dlaczego Chynna, piękna kobieta z Chicago... Co sprawiło, że ona także wystawiła się na sprzedaż?

Właściwie dopiero, gdy znalazł w katalogu jej zdjęcie, uwierzył w całą tę historię. Chynna wyglądała tak, jak w rzeczywistości. Może tylko była trochę bardziej spięta, ale tak samo piękna.

Trzeba być bardzo odważnym i pewnym siebie mężczyzną, żeby wybrać właśnie taką kobietę, pomyślał Joe. Ciekawe, skąd u Grega tyle odwagi? Teraz już rozumiem, dlaczego się nie pojawił. Stchórzył!

- Pewnie się upił, wysłał ten list z czekiem, a potem się wystraszył - powiedział do siebie Joe. - I nawet nie miał odwagi napisać do Chynny, że się rozmyślił.

Tak pewnie było, pomyślał, uśmiechając się pod nosem. A to oznacza, że będę jej to musiał sam powiedzieć. I patrzeć, jak te śliczne oczy stają się coraz smutniejsze.

- Wielkie dzięki, braciszku - mruknął. Zamknął katalog i spojrzał przez okno na ogromne sosny. - A niech cię diabli porwą!

Chynninie generalne porządki dobrze zrobiły. Uznała je wręcz za swego rodzaju terapię. Poza tym szorowanie i skrobanie brudu zwalniało ją od myślenia o czymkolwiek innym. Niestety, chciane czy nie chciane, ponure myśli wcale nie zamierzały jej opuszczać.

Nie mam innego wyjścia, pomyślała. Muszę sprawić, żeby ten facet się we mnie zakochał.

A jednak sama myśl o tym wzbudziła w niej niesmak. Nigdy nie narzekała na brak zainteresowania ze strony mężczyzn. Może właśnie dlatego, że nie zwracała na nich uwagi. Miała poważniejsze sprawy na głowie niż flirtowanie z byle kim. Teraz jednak umiejętność flirtowania bardzo by się jej przydała. Tylko skąd ją wziąć, skoro nigdy wcześniej się tego nie ćwiczyło?

- Muszę spróbować - powiedziała do siebie.

Tym razem nie chodziło przecież o zabawę. Jej życie i życie jej dzieci zależały od tego, czy Chynnie się powiedzie.

Wszystko przez to, że źle się do tego spotkania przygotowałam, myślała zła na siebie. Za to teraz muszę ułożyć jakiś sensowny plan działania. I powinnam to zrobić' szybko, bo widać gołym okiem, że Greg wolałby, żebyśmy tu nie zostawali. Tak, musi się we mnie zakochać. Ale jak to zrobić?

Mężczyzna, którego wybrała sobie na męża, bardzo jej się podobał. Być może to właśnie było w tej całej sytuacji najgorsze. To prawdziwy cud, że okazał się sympatycznym i kulturalnym człowiekiem. Mogła przecież trafić na jakiegoś nieokrzesanego gbura.

Boże, gdybym tylko miała trochę więcej czasu, pomyślała Chynna. Na pewno pokochałby moje dzieci. Są takie słodkie. Wszyscy znajomi to mówią. One są tylko trochę onieśmielone, to wszystko. Jutro na pewno będą się inaczej zachowywały. Byle do jutra!

Postanowiła przez ten czas wysprzątać cały dom, ugotować pyszny obiad i udowodnić Gregowi, że jej dzieci naprawdę są wspaniałe. Musi się jej udać. Musi przekonać Grega Camdena, żeby się z nią ożenił.

Wieczór minął i nadeszła noc, choć niebo wciąż jeszcze było jasne. Greg się nie pojawił. Joe z każdą chwilą nabierał pewności, że brat nie wróci do domu, dopóki będzie tu Chynna

Odłożył magazyn, którego wcale nie miał ochoty przegadać, i zapatrzył się w okno. Choć właściwie tylko udawał, że patrzy w okno. Naprawdę przyglądał się Chynnii.

Nie można jej było nie zauważyć. Bez przerwy była w ruchu. Poruszała się lekko, jakby płynęła. A kiedy zbliżała się do dzieci, emanowała z niej pełna wdzięku troskliwość. Joe pomyślał, że wygląda jak łabędź. Albo raczej jak łabędzica chroniąca swoje dzieci przed obcymi.

Opiekuńcza postawa Chynny bardzo go wzruszyła. A przecież Joe nie był sentymentalny. Wzruszeń unikał jak ognia. Były dla niego czymś bardzo intymnym, co się posiada, ale czego nigdy nie ujawnia się w towarzystwie. Co innego w samotności, kiedy ma się sporo wolnego czasu...

Boże, co ta kobieta ze mną wyprawia, wystraszył się. Muszę ją stąd jak najszybciej wywieźć. Najlepiej z samego rana. Czy ona wreszcie to zrozumiała? Kiedy Chynna się stąd wyniesie, Greg zaraz wróci do domu i będę mógł wreszcie załatwić to, po co tu przyjechałem. Tak, to jedyne wyjście z sytuacji. Chynna będzie musiała przyjąć do wiadomości moje argumenty. Zaraz z nią porozmawiam.

Chynna poczuła na sobie jego spojrzenie i podniosła głowę.

- Czy tu nigdy nie robi się ciemno? - zapytała. - Już prawie dziewiąta, a niebo wygląda tak, jakby była co najwyżej piąta.

- Najgorzej jest w czerwcu - odrzekł Joe. - Przez kilka tygodni słońce w ogóle nie zachodzi.



- Nie zachodzi słońce? - Chynna pokręciła głową, jakby nie potrafiła uwierzyć w istnienie takiego fenomenu. - Jak wobec tego przekonuje się dzieci, że powinny położyć się spać?

- Moja matka tłumaczyła nam, że jeśli zamkniemy oczy, to pod powiekami robi się ciemno i będzie nam obojętne, jak jest na dworze.

- I co? Działo? - zapytała ze śmiechem.

- Nie. Ale udawaliśmy, że działa. Żeby jej nie było przykro.

Rusty coś powiedział i Chynna znów zajęła się dziećmi. Joe nie mógł oderwać od niej oczu. Przyjazd do tego domu przywołał wspomnienia, na które od dawna sobie nie pozwalał. Obecność tej kobiety w jego rodzinnym domu prowokowała myśli i uczucia, których istnienia nie zamierzał nikomu ujawniać.

I nie ma potrzeby tego zmieniać, pomyślał. W końcu jutro o tej porze Chynny już tu nie będzie. Muszę tylko znaleźć kogoś, kto ją zawiezie do Anchorage.

Obserwował, jak Chynna pomaga dzieciom uprzątnąć zabawki, a potem przygotowuje je do spania.

- Powiedzcie panu Camdenowi dobranoc - poleciała, kiedy przechodzili obok niego.

- .. .branoc, panie Camden - mruknął Rusty, nie patrząc wcale na niego.

- Dobranoc, dzieciaki - powiedział Joe, trochę może zbyt serdecznie.

Kimie się nie odezwała. Żaden dźwięk nie przebiłby się przez zaciśnięte na palcu usta.

Chynna westchnęła zrezygnowana i poprowadziła dzieci do sypialni.

Joe słuchał, jak coś do nich mówiła. Uśmiechnął się, kiedy zaczęła śpiewać kołysankę. Miała miły głos, który czynił cuda. Joe poczuł, że wszystkie mięśnie mu się rozluźniają, głowa opada na oparcie fotela...

Ocknął się, gdy Chynna położyła mu dłoń na ramieniu.

- Co? - zapytał nieprzytomnie. - Co się stało?

- Coś chodzi koło domu - wyszeptała przerażona. - Słyszysz?

Joe wsłuchał się w ciszę, ale nic nie usłyszał. Głupio mu było, że dał się uśpić jak dziecko. Zerknąwszy na zegarek, stwierdził, że przespał ponad pół godziny. Pewnie chrapał i to tak przestraszyło Chynnę.

Nagle na tyłach domu rozległo się niskie, ponure wycie. Chynna chwyciła go za ramię.

- Znowu! - Kurczowo zacisnęła palce. - Co to jest?

Dotknięcie jej palców sprawiło mu przyjemność. A ponieważ wciąż jeszcze był trochę zaspany, nie potrafił się jej oprzeć tak stanowczo, jak powinien to zrobić. Zaprzagnął przytulić do siebie tę kobietę. Dobrze, że przynajmniej to pragnienie udało mu się opanować.

- To chyba wilk - powiedział, choć tak naprawdę niezbyt dokładnie słyszał dźwięk, który ją tak zaniepokoił. Był całkowicie pochłonięty przyglądaniem się pięknej twarzy Chynny. - To dziwne. One właściwie nigdy tu nie przychodzą.

Skinęła głową, choć przecież zupełnie nic o wilkach nie wiedziała. Ani na chwilę nie puściła ramienia Joego.

- Wilk? - zapytała przerażona. - Tak blisko domu?

- A coś ty myślała? - Joe wreszcie oprzytomniał. W końcu znalazł sposób, żeby ją stąd wykurzyć. Wystarczyło ją tylko przestraszyć, powiedzieć, że są tu dzikie zwierzęta, które chętnie rozerwą na sztuki i

jej dzieci. Tak, to najlepsza metoda, aby ją przekonać, że rano powinna wyjechać do Chicago. - Wiedziałaś chyba, że na Alasce żyją dzikie zwierzęta. Mamy tu niedźwiedzie, pumy, wilki i lisy.

Chynna znów skinęła głową. Oczywiście, że wiedziała. Była na to wszystko doskonale przygotowana i... kompletnie wytracona z równowagi przez niespodziewana, bliskość dzikiej przyrody. Co innego wiedzieć, że w pobliskim lesie żyją zwierzęta, a zupełnie co innego usłyszeć wyjącego za ścianą domu wilka. A więc istniało jeszcze jedno niebezpieczeństwo, przed którym trzeba będzie chronić dzieci.

Wreszcie puściła ramię Joego. Westchnęła głęboko i już po chwili zaczęła się uspokajać.

Dobry Boże, pomyślała, tak bardzo byłam zajęta przygotowaniem do ucieczki przed miejskimi drapieżnikami, że zupełnie zapomniałam o prawdziwych dzikich zwierzętach, które także mogą być niebezpieczne.

Jako samotna matka nie mogła pozwolić sobie na inne mieszkanie niż takie, które znajdowało się w dzielnicy systematycznie nawiedzanej przez wszelkiego rodzaju gangi i bandy, trudniące się rozbojem i kradzieżą. Właśnie dlatego postanowiła zabrać stamtąd dzieci i przywieźć je tu, gdzie nie ma złoczyńców. A przecież powinna wiedzieć, że nigdzie nie jest całkiem bezpiecznie. Nie ma na świecie takiego miejsca, w którym nie trzeba byłoby radzić sobie z jakimś zagrożeniem, chronić przed nim dzieci.

No nic, pomyślała nieco uspokojona. Przyzwyczajmy się. Wszystkiego się nauczymy. Greg nam pomoże.

Spojrzała na jego szerokie ramiona, szczerą twarz i raz jeszcze pogratulowała sobie wyboru. Dobrze zrobiła, że właśnie jego wybrała

spośród wszystkich mężczyzn, którzy odpowiedzieli na zamieszczoną w katalogu ofertę. Nie wiedziała, dlaczego, ale wierzyła w niego i czuła, że na tym człowieku można polegać. Zresztą nawet gdyby nie spodobał się jej, to i tak w tej chwili nie miała wyboru.

- Trochę potrwa, zanim się do tego przyzwyczaimy - uśmiechnęła się. - Czy one... Czy te wilki całą noc tu będą?

- Nie. Przetrzęsają okolicę w poszukiwaniu zdobyczy.

Oczy Chynny zrobiły się okrągłe z przerażenia. Tego Joe nie potrafił znieść. Nie umiał kłamać, co zresztą bardzo komplikowało mu życie.

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział.

- Wiem... Rozumiem... Tutaj po prostu tak jest. Będziemy się musieli przyzwyczaić. Całe życie spędziłam z dala od natury, więc skąd mam wiedzieć, jak się z nią obcuje?

Chynna poszła do swego pokoju. Wilk znów zawył, tym razem jednak trochę dalej. Joe podniósł głowę, jakby rozbudzony instynkt kazał mu chwycić wiatr w nozdrza. Boże, ależ mi tego wszystkiego brakowało, pomyślał. Tych dźwięków, dzikiej przyrody i tego uczucia, że się jest zdobywcą. Nie miałem pojęcia, że nie da się w sobie tego tak całkiem zabić.

Po raz pierwszy od wielu lat uświadomił sobie, że wcale nie chciał zabić w sobie miłości do Alaski.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Joe nie mógł zasnąć. Spał przez godzinę lub dwie, zanim się obudził, ale, choć liczył owce i wykonywał ćwiczenia relaksacyjne, nie mógł ponownie usnąć. Wreszcie dał za wygraną. Wstał z łóżka, ubrał się i wyszedł na dwór.

Zaraz też otoczyły go znajome dźwięki: brzęczenie owadów, szmer trawy, przez którą przemykały małe zwierzątka, trzepot skrzydeł przelatującej tuż obok niego sowy i dobiegający z oddali szum rzeki. Było tu całkiem inaczej niż w dzielnicy willowej Los Angeles, gdzie słyszało się przede wszystkim odgłosy ruchu ulicznego i grające u sąsiada radio.

Joe spojrzał na ośnieżone szczyty gór. Dreszcz przeszedł mu po plecach.

- Niech cię diabli porwą, ty przekłeta Alasko - powiedział do siebie.  
- Nie uda ci się mnie usidlić. Jestem już za stary i odporny na takie sztuczki.

A jednak wcale nie był ani taki odporny, ani taki silny, jak mu się zdawało. Nietrudno byłoby mu zostać na Alasce. Gdyby pobyl tu trochę dłużej, pewnie nie zechciałby wrócić do Los Angeles.

Dlatego też Joe nie miał zamiaru zostawać tu ani godziny dłużej, aniżeli było to absolutnie konieczne. Musiał jak najszybciej znaleźć brata i zabrać go ze sobą do Anchorage. Po to właśnie przyjechał. Nie mógł odjechać, nie załatwiwszy, tej sprawy. Przynajmniej tyle winien

był swojej matce. Greg zresztą też. Najpierw jednak musiał rozwikłać tę przedziwną sytuację, w której znalazł się całkiem przypadkowo.

- Wiem, że tam jesteś, Greg - powiedział głośno, wpatrując się w pobliski las, jakby wierzył, że zdoła wypatrzeć jakąś postać. - Założę się, że jesteś gdzieś w pobliżu. Kiedyś w końcu będziesz musiał się pokazać. Sam pij to piwo, którego nawarzyłeś. No, wyłaż, tchórze. Na co czekasz?

Choć Joe przez kilka minut nasłuchiwał, niczego nie usłyszał. W końcu postanowił wrócić do domu. Zanim jednak wszedł do środka, spojrział w okno sypialni rodziców. I właśnie w tej chwili zapaliło się tam światło.

Przez okno widać było, jak Chynna wchodzi do pokoju, a biały szlafrok powiewa za nią jak peleryna. Pochyliła się nad śpiącymi dziećmi. Joe stał jak wrośnięty w ziemię i patrzył. Miał świadomość, że takim scenom może jedynie przyglądać się z daleka. Był absolutnie pewny, że nie umiałby wzbudzić w sobie takich uczuć wobec jakiegokolwiek dziecka. Przypuszczał, że nie ma w nim instynktu rodzicielskiego. Ciekaw był jednak, na jakiej podstawie Chynna doszła do wniosku, że Greg ma taki instynkt.

A jednak wciąż gapił się w okno, choć doskonale wiedział, że nie powinien tego robić. Chynna pochylała się nad Rustym, coś do niego szeptała, a potem pocałowała go w główkę. Wyprostowała się i patrzyła z uśmiechem na swoje dzieci. W końcu zgasiła światło i wyszła z sypialni.

Cała ta scena bardzo go wzruszyła. Joe dotąd nie miał pojęcia, że w ogóle zdolny jest do tego rodzaju uczuć. Nie wiedział też, skąd nagle wzięła się ta dziwna tęsknota? Otrząsnął się jak pies, który wyszedł z rzeki.

Jeszcze tylko tego trzeba mi do szczęścia, pomyślał. Muszę z Chynną poważnie porozmawiać. Właściwie mógłbym skorzystać z okazji i zrobić to teraz.

Prędko wszedł do domu. Chynna była jeszcze na korytarzu.

- Czy mogłabyś do mnie na chwilę przyjść? - zapytał.

- Muszę ci coś ważnego powiedzieć.

Była zasnana, ale mimo to zeszła na dół. Z obawą wyjrzała przez otwarte drzwi na dwór.

- Czy wilki już sobie poszły? - zapytała.

- Jakie wilki? - Joe zdążył już o nich zapomnieć. - Ach, tak. Bardzo dawno.

Chynna odetchnęła z ulgą. Wyszła z domu i stanęła obok Joego na ganku.

- Wciąż jest tak jasno - powiedziała. - Niebo wygląda jak podczas pełni, choć wcale nie ma księżyca.

- Słońce wprawdzie zachodzi, ale nie odchodzi zbyt daleko - odparł Joe, spoglądając na niebo. Całkiem zapomniał, jakie jest niesamowite i jakie piękne. Miało też chyba czarodziejską moc.

Zszedł z ganku i podszedł do starej studni, którą dawno temu wykopał jego ojciec. Chynna bez słowa podążyła za nim. Usiedli na kamiennej ławeczce obok studni. Chynna owinęła się szlafrokiem, a Joe zaczął żałować, że pozwolił jej tak bardzo się do siebie zbliżyć. Była zbyt blisko, żeby mógł nie zareagować na jej zmysłowe piękno.

- Gdzie są psy? - zapytała, jakby nie zdawała sobie sprawy, co się z nim dzieje.

- Jakie psy?

- No, twoje. W kuchni stoją miski, a w spiżarni jest psie jedzenie.

W domach, w których nie ma psów, zazwyczaj nie trzyma się takich rzeczy. No więc, gdzie one są?

- Masz rację - roześmiał się Joe. - Zawsze mieliśmy co najmniej dwa psy. Greg pewnie zabrał je ze sobą..

- Skoro tak twierdzisz... - mruknęła Chynna i spojrzała na majaczące w oddali góry.

A więc ona wciąż uważa, że jestem Gregiem i że się tego wypieram, pomyślał Joe. Mam tego dość. Najwyższy czas, żeby przyjęła do wiadomości całą prawdę.

- Jesteś sympatyczną kobietą, Chynno - zaczął. - Twoje dzieci też... Też są miłe. Ale musicie jutro stąd wyjechać. Innego wyjścia nie ma.

Nie patrzył na nią, ale poczuł, że zeszywniała. Nie chciał nawet widzieć jej miny. Nie odrywał oczu od nieba.

- Ty naprawdę w niczym nie zawiniłaś! To wina Grega. Nie wiem, co on sobie myślał, kiedy po ciebie posłał. W każdym razie widzisz chyba, że nie zamierza wywiązać się z umowy. Zresztą, moim zdaniem, to nawet dla ciebie lepiej.

- Nie zgadzam się z tobą - wyszeptała cicho.

Teraz na nią spojrzał. Wprawdzie mówiła cicho, ale bardzo stanowczo. Nie miała zamiaru poddać się bez walki. Joe musiał ją do swoich racji przekonać.

- Słuchaj, ty nawet nie masz pojęcia, jaki jest mój brat - usiłował jej wytłumaczyć to, czego w żaden sposób wyjaśnić się nie da.

- Czyżby? - zakpiła. - Wobec tego mi o nim opowiedz.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć i pewnie nawet nie będziesz chciała tego słuchać, ale uważam, że powinnaś poznać prawdę. Nie wiem, dlaczego Greg naraził cię na trudy podróży, skoro teraz zachowuje się jak tchórz. Ale to właśnie jest cały on. Mnie to jego postępowanie na-



wet nie bardzo dziwi. Doskonale pasuje do jego charakteru. Zawsze miał humory, był chaotyczny i trudno było sobie z nim poradzić. Często na całe dni znikał w lesie, dokładnie tak samo jak teraz. Ta ziemia to jego przeznaczenie. Nigdy stąd nie wyjedzie.

- A kto ci powiedział, że ja chcę stąd wyjechać?

- Może teraz nie chcesz, ale w końcu opuścisz Alaskę. Wcześniej czy później. Wszystkie kobiety stąd uciekają.

- Chcesz powiedzieć, że kobiety nie potrafią radzić sobie w tym dziwnym kraju tak dobrze jak mężczyźni?

- Dokładnie to miałem na myśli. Ja się tu urodziłem i niejedno widziałem. A ty nie masz o tym wszystkim pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Ale nie o tym chciałem z tobą, rozmawiać. Nie chodzi mi o kobiety w ogóle, tylko o ciebie.

- Przekonasz się - powiedziała, dumnie unosząc do góry głowę. - Zobaczysz, że dam sobie radę. Na pewno!

W jej głosie była determinacja i niezachwiana pewność siebie, jednak Joe wiedział, że ta kobieta nie ma pojęcia, o czym mówi.

- Wiem, że chciałaś jak najlepiej - tłumaczył jej Joe. - Ale życie na Alasce i ciebie kiedyś w końcu zmęczy. Nigdy tu nie mieszkałaś, więc nic o niej nie wiesz. Ja wiele razy widziałem, jak to się dzieje. Właściwie każdy mężczyzna, który przywozi tu kobietę, wcześniej czy później i tak zostaje sam. Tutaj po prostu tak jest.

Powiał wiatr i pasmo włosów zasłoniło oczy Chynny. Joe z trudem powstrzymał się przed odgarnięciem tego pasma z jej czoła.

- Kobiety lubią ładne rzeczy - ciągnął. - Chciałyby chodzić na kon-

certy, na przyjęcia i tańce. Lubią robić zakupy w eleganckich sklepach. Tutaj tego wszystkiego robić nie można. Żyje się jakby na innej planecie.

Gdyby mógł przewidzieć, co się stanie, prawdopodobnie by temu zapobiegł. Ale nie przewidział. Nim się zorientował, Chynna trzymała jego dłoń w swoich dłoniach.

- Teraz ty mnie posłuchaj, Greg - poprosiła. - Całe życie przeżyłam w dużym mieście. Chodziłam do eleganckich restauracji, do teatrów i nawet do college'u. Doskonale znam miejskie życie i właśnie dlatego od niego uciekłam. Przyjechałam tutaj, gdzie wszystko jest takie czyste, gdzie człowiek może się poczuć wolny. Ja właśnie tego potrzebuję i tego samego trzeba moim dzieciom. Pozwól nam tu zostać'. Obiecuję, że tego nie pożałujesz.

- Chynno... - zaczął Joe, choć nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć potem. Była tak blisko niego... I najwyraźniej miała jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

- Nie ruszaj się - poprosiła, a zaraz potem położyła dłoń na policzku Joego. Po chwili musnęła wargami jego usta.

Pocałunek. Tego się nie spodziewał. Ale kiedy to się stało, w mig zrozumiał, że o tym właśnie marzył od chwili, gdy ją ujrzał. Wszystkie jego dobre intencje obróciły się wniwecz. Chynna opanowała jego zmysły, uderzyła mu do głowy jak mocny alkohol... Joe nawet nie próbował się opierać. Przytulił ją do siebie i także namiętnie pocałował. Bardzo jej pragnął i sądził, że ona także go pożąda. Jednak odsunęła się od niego tak samo nagle, jak nagle go pocałowała. Puścił ją, bo cóż innego mógł zrobić.

Chynna była kompletnie zaskoczona. Tego się po nim nie spodziewała. Przypuszczała, że ma do czynienia z nieśmiałym mężczyzną,

którego trzeba będzie długo uwodzić, zanim w ogóle na coś się odważy. Tymczasem on był jak wulkan. Przestraszyła się i tylko dlatego się od niego odsunęła.

- Na dzisiaj wystarczy - powiedziała, otulając się szlafrokiem. - Chyba już pójdę do domu.

Joe nawet nie próbował jej zatrzymać. Tak samo jak ona był poruszony tym nagłym wybuchem namiętności, jakiego ani po sobie, ani tym bardziej po niej się nie spodziewał. Patrzył, jak idzie do domu, znika za drzwiami... Dopiero potem podniósł oczy ku gwiazdom.

- Ja naprawdę nie chciałem - oświadczył. - Wiem, że nie powinienem był tego robić.

Ale gwiazdom było całkiem obojętne, co Joe robi, a czego nie robi. Żadna z nich się nie odezwała.

Boże, co ja wyprawiam, pomyślał Joe. Miałem się jej jak najszybciej pozbyć, a tymczasem omal jej nie uwiodłem. I to w dodatku na dworze.

- Widziałeś to, Greg? - zawołał w stronę lasu, - Widziałeś, jak całowałem twoją narzeczoną? Jeśli nas obserwowałeś, to wracaj do domu i sam się nią zajmij, frajerze. Chyba że chcesz, żeby ktoś inny zrobił to za ciebie.

Ktoś inny? Własne słowa jego samego zdziwiły. Naprawdę musiał się pozbyć tej kobiety. Zanim zdarzy się coś, czego już nie da się odwrócić

Zamiast pójść do domu i wziąć zimny prysznic, Joe pomaszerował przed siebie. Uznał, że tak będzie lepiej. Miał także cichą nadzieję, że może jednak uda mu się spotkać brata.

Joe śnił, że jest w krainie Liliputów i że tysiące małych ludzików skrepowało go sznurami. Kiedy się obudził, miał uczucie, że nie jest w

pokoju sam. Nieprzytomnie rozejrzał się dookoła. Drzwi do pokoju były otwarte na oścież.

- Kto tu jest? - zawołał.

Najpierw rozległo się jakieś szuranie, potem chichot, a wreszcie zza fotela wyskoczył Rusty. Jak wiatr pognał w stronę drzwi. Za nim pobiegła Kimmie, która, jak się okazało, ukrywała się w nogach łóżka. Dzieci krzyczały przy tym, jakby zobaczyły diabła.

Joe jęknął i przykrył sobie głowę poduszką. Nie zwykł w ten sposób zaczynać dnia i nie zamierzał zmieniać swoich przyzwyczajzeń. Szczególnie że miał za sobą wyjątkowo paskudną noc. Ponad godzinę szukał Grega. Odszukał nawet ulubione miejsce biwakowania młodszego brata, ale i tam go nie znalazł.

Kiedy wrócił do domu, wyjął z kredensu na pół opróżnioną butelkę szkockiej i pomalutku, szklanka po szklance, wysączył ją do dna. Teraz miał potwornego kaca.

Żywił nadzieję, że Greg jednak wrócił, ale skoro to nie on był w sypialni, to znaczy, że się nie pojawił.

Może to i lepiej, pomyślał Joe. Będę mógł jeszcze trochę pospać.

Zamknął oczy, ale zasnąć mu się nie udało. Głowa bolała go tak, jakby ktoś przez całą noc grał nią w koszykówkę. Poza tym miał jeszcze parę spraw do załatwienia. Obawiał się jednak, że w tym stanie nie będzie potrafił niczego załatwić. W końcu zdecydował, że skoro ma wakacje, to może sobie pozwolić na późne wstawanie. Powoli zaczęła go ogarniać senność.

I wtedy stało się coś strasznego. Najpierw przez drzwi sypialni, a potem przez nakrywającą głowę poduszkę zaczęły się przesączać dźwięki piosenki o białym wielorybie. Joe mocniej przycisnął poduszkę do

ucha, ale niewiele mu to pomogło, bo dziecięcy głosik śpiewał coraz głośniej. Zacisnął zęby i leżał tak, dopóki piosenka się nie skończyła.

Niestety, spokój nie trwał długo. Małe diablęta włączyły kasetę od nowa. Tym razem znacznie głośniej. Tego już nie mógł znieść. Jeśli nie chciał zwariować, musiał położyć kres tym wrzaskom.

Wyrzwał spod poduszki. Pomyślał, że gdyby zamknął drzwi, na pewno zrobiłoby się ciszej. Problem w tym, że okropnie nie chciało mu się wstawać z łóżka. Postanowił rzucić w drzwi drugą poduszką. Gdyby trafił, same by się zatrzasnęły. W każdym razie warto było spróbować.

Jak postanowił, tak zrobił. I właśnie wtedy, kiedy poduszka, jak na puszczonej w zwolnionym tempie filmie, leciała w powietrzu, w otwartych drzwiach stanęła Chynna. Poduszka uderzyła ją prosto w twarz.

Joe patrzył na całe to wydarzenie, zastanawiając się, jak to możliwe, że wszystko dzieje się tak powoli. Widział, jak poduszka koziółkuje w powietrzu, jak Chynna coś do niego mówi, poduszka uderza ją w twarz, a Chynna się cofa. Dopiero wtedy wkroczył do akcji. Przeklinając pod nosem, wyskoczył z łóżka i podbiegł do Chynny.

- Nie zrobiłem ci krzywdy? - pytał, przytrzymując opadające spodnie od piżamy. - Przepraszam. Naprawdę nie chciałem cię uderzyć.

Chynna była całym tym zajściem wyraźnie rozbawiona. Trzymała w ramionach poduszkę i patrzyła na sumitującego się, półnagiego mężczyznę. Coraz bardziej jej się podobał.

- Celowałeś w dzieci? - domyśliła się.

- Nie - zaprzeczył Joe, choć właśnie w nie najbardziej chciał trafić.

Nie tylko poduszką. Ale przecież dzieciom takich rzeczy się nie robi. Nie był tego wcale pewien, lecz intuicja podpowiadała mu, że nie. - Celowałem w drzwi. Chciałem...

- W drzwi? - zdziwiła się Chynna. - Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz. Myślałem, że jak trafię w drzwi, to one się zamkną, a potem...

- Greg, naprawdę nie musisz się tłumaczyć. To jest twój dom i możesz sobie rzucać poduszkami, w kogo tylko zechcesz.

Joe już chciał się bronić, ale dostrzegł w jej oczach iskierki rozbawienia i pojął, że ona z niego kpi.

- Dzięki za złapanie poduszki. - Wyciągnął rękę po swoją własność. - Wracam do łóżka.

- Nie ma mowy. - Chynna przycisnęła poduszkę do piersi. - Już bardzo późno.

Spojrzeli na siebie i oboje jednocześnie pomyśleli o nocnym pocałunku. Joe dowiedział się dzięki niemu, że narzeczona brata bardzo go pociąga, Chynna natomiast przekonała się, że uwiedzenie przyszłego męża przyjdzie jej bez najmniejszego wysiłku. Dla obojga było to niezapomniane przeżycie.

- Prawie nie spałem w nocy - odezwał się Joe, tłumacząc się przed nią ze swego lenistwa. - Muszę odespać. Za godzinę powinienem być gotów.

- Za godzinę! - zawołała Chynna. - Niewiele więcej brakuje do wieczora.

- Świetnie! - Joe się uśmiechnął, choć nawet cebulki włosów rozbołały go od tego wysiłku. - Wobec tego wcale nie będę dziś wstawał.

Chynna wzniosła oczy ku niebu, a potem spojrzała na zegarek.

- No dobrze - zgodziła się. - Pozwolę ci spać jeszcze przez godzinę. Ale ani chwili dłużej.

Joe znów wyciągnął rękę po swoją poduszkę. Chynna mu jej nie oddała, lecz weszła do pokoju, strzepała obie poduszki i ułożyła je na łóżku. Dopiero wtedy zauważyła leżącą na podłodze pustą butelkę po szkockiej. Spojrzała na Joego, potem na butelkę i zacisnęła usta.

- Dużo wypiełeś? - zapytała.

Joe przypomniał sobie, że jej oferta w katalogu stanowczo wykluczała mężczyzn pijących alkohol. Był prawie pewien, że jej poprzedni mężczyzna, może nawet ojciec jej dzieci, też za dużo pił. Ucieszył się, bo wreszcie znalazł sposób, żeby zmusić ją do wyjazdu. Powinienem tylko powiedzieć, że piję, a sama zwieje stąd, gdzie pieprz rośnie, pomyślał. Wystarczy jedno małe kłamstwo...

- Ja właściwie wcale nie piję - usłyszał własne słowa. - Wczoraj była wyjątkowa noc. Musiałem sobie kilka spraw przemyśleć... Poniosło mnie... Nie jestem przyzwyczajony do alkoholu, więc...

Chynna wpatrywała się w niego podejrzliwie. Po chwili, widocznie zadowolona z tego, co zobaczyła, skinęła głową.

- Rozumiem - powiedziała.

Joe odetchnął z ulgą. Miał ochotę zrobić sobie awanturę za własną głupotę. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Przecież nie chciał, żeby ta kobieta go polubiła. Wprost przeciwnie.

- Dziś musicie stąd wyjechać - przypomniał.

Jego oświadczenie nie zrobiło na Chynnie najmniejszego wrażenia.

- Jeśli naprawdę nie chcesz mnie poślubić, to może na dałabym się na twoją gosposię. - Znacząco rozejrzała się po pokoju.

- Sądząc po stanie, w jakim znajduje się ten dom, stanowczo nie powinien mieszkać sam.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, znów rozległa się piosenka o wielorybie. Joe jęknął i zakrył uszy rękami. Jedynym wyjściem z tej koszmarnej sytuacji byłyby zatyczki do uszu. Jak oszalały rzucił się do nocnego stolika, na którym Greg zgromadził mnóstwo różnych śmieci. Niestety, zatyczek do uszu tam nie było. Mało brakowało, a Joe byłby się załamał, kiedy na podłodze pod łóżkiem dostrzegł futrzane nauszniki. Tak, to było jakieś rozwiązanie. Natychmiast je nałożył i nic go nie obchodziło, że będzie wyglądał jak idiota. Biały wieloryb był nie do zniesienia.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała Chynna, która ani na chwilę nie spuściła z niego oka.

- Słucham? - Musiał odsunąć nauszniki, żeby zrozumieć, co do niego mówiła.

- Co robisz?

- Bronię się przed białym wielorybem.

Nauszniki znakomicie tłumili dźwięki, ale były stanowczo za ciepłe jak na tę porę roku. Nieznośny upał sprawiał, że głowa coraz bardziej go bolała. Zdjął więc nieszczęsne nauszniki i rzucił je z powrotem na podłogę.

- Chyba zaciągnę się na szkuner wielorybniczy - powiedział zrozpaczony. - Wiesz może, gdzie przyjmują zapisy?

Chynna patrzyła na niego zdziwiona. Nie miała pojęcia, co on za bzdury wygaduje. Dopiero po chwili do jej świadomości zaczęły docierać słowa piosenki. Wreszcie rozumiała, co go tak bardzo irytowało.

- Zaraz się tym zajmę - uśmiechnęła się do niego. - A piosenkę o małpach skaczących po łóżku lubisz?



- Nie mogłabyś znaleźć kasety z jakąś cichą, uspokajającą muzyką? - zapytał Joe, siadając na łóżku. Obiema rękami trzymał się za głowę.

- Masz kaca - domyśliła się Chynna. - Postaram się, żeby dzieci ci nie przeszkadzały - powiedziała. Wyszła z pokoju i cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Położył się na łóżku. Piosenka o wielorybie ucichła, a zaraz potem dziecięcy głosik zaśpiewał o skaczących po łóżku małpach. Proroctwo Chynny zaczynało się spełniać. Na szczęście dotarła już widocznie na dół i jakimś, sobie tylko znanym sposobem, zmusiła dzieci, żeby przyciszyły muzykę. Ale Joe nie mógł zasnąć. Twarz Chynny wirowała mu przed oczami.

Chyba zwariowałem, myślał. Po pierwsze, przyjechała tu po to, żeby poślubić mojego brata. Po drugie - ma dwoje dzieci, a po trzecie - jest taka zdecydowana. Nie cierpię takich kobiet.

Po chwili jednak musiał przyznać, że im był starszy, tym mniej kobiet mu się podobało. Stawał się coraz bardziej wymagający. Dzięki temu trudno mu się było związać z jakąkolwiek kobietą. Nie zamierzał się żenić, więc uznał, że każdy sposób jest dobry, jeśli może uchronić człowieka od takiego nieszczęścia.

Czasami jednak spotykał kobiety zdolne zachwiać jego postanowieniem wytrwania w kawalerskim stanie. Po raz ostatni zdarzyło się to z pewną malarką, którą poznał na plaży w Malibu. Była trochę starsza od niego, bardzo piękna i zupełnie inna niż kobiety, które znał dotychczas. Zatrzymał się, żeby popatrzeć, jak maluje, a skończyło się na długiej filozoficznej dyspucie. Tamta kobieta była mądrzejsza i miała poglądy bardziej oryginalne niż którykolwiek z profesorów w college'u, do

którego chodził Joe. Zaprosił ją, na kawę; zjedli razem kolację, a wreszcie pojechali na weekend do Newport. Angażowała go w filozoficzne dyskusje, w jakich nigdy przedtem nie brał udziału, i pokazała mu seks, którego istnienia nawet się nie domyślał. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat i bez pamięci zakochał się w tej kobiecie. Przynajmniej tak mu się wydawało. Wyobrażał sobie wspólne życie upływające im na dyskusjach i, szalonej miłości. Naprawdę chciał się z nią ożenić. Niestety, przyjechał mąż i zabrał jego wybrankę do domu. Wszystkie plany i marzenia Joego legły w gruzach. Tamta przygoda nauczyła go, że nie należy ludziom wierzyć na słowo. Nigdy już się nie zakochał.

- I nigdy się nie zakocham - powiedział głośno. Przykro mu się zrobiło, że nie usłyszał w swoim głosie zwykłej dla niego stanowczości. - To wszystko przez tego kaca - natychmiast znalazł wytłumaczenie.

Postanowił mimo wszystko wstać. Skoro i tak nie mógł zasnąć... Tym bardziej że w samotności nachodziły go głupie myśli.

Ubrał się i zszedł na dół.

- Czołem, dzieciaki - mruknął, przechodząc obok bawiących się w pokoju malców.

Palec Kimmie, jak zaczarowany, powędrował do buzi, za to Rusty zdobył się na inteligentną odpowiedź.

- Dzień dobry panu - powiedział, patrząc na Joego, jakby ten był co najmniej kosmitą.

Joe zatrzymał się i także popatrzył na chłopca. Rozumiał, ile wysiłku kosztowało małego to powitanie.

- Możesz nazywać mnie Joe - pozwolił łaskawie.

Powlókł się do kuchni, a dzieci podążyły za nim. Patrzyły, jak wyjmuje

z kredensu pudełko aspiryny. Dopiero po chwili zrozumiał, dlaczego tak dziwnie mu się przyglądały. Matka przecież powiedziała im, że ma na imię Greg. Dzieci pewnie nie rozumiały, dlaczego ktoś, kto ma na imię Greg, każe mówić do siebie Joe.

Biedne szkraby, pomyślał Joe i uśmiechnął się do nich. Nie miał ochoty niczego im tłumaczyć. Na pewno nie w tej chwili. Głowa bolała go, jakby za chwilą miała pęknąć. Nalał sobie pół szklanki wody i wrzucił do niej dwie tabletki musującej aspiryny.

- Co to jest? - zapytał Rusty. Wdrapał się na krzesło, żeby lepiej widzieć.

- To? - Joe podniósł do oczu szklankę z musującym płynem. - To jest czarodziejski napój. Jak go wypiję, to moja głowa zrobi się mniejsza.

Jednym haustem wypił paskudne lekarstwo. Skrzywił się, otrząsnął i czekał, aż aspiryna zacznie działać.

W kuchni panowała podejrzana cisza. Joe zerknął na dzieci. Jak urzeczony wpatrywały się w jego głowę. Najpierw się zdenerwował, a po chwili przypomniał sobie, co im powiedział o lekarstwie. Te diablęta chciały zobaczyć, jak mu będzie malała głowa.

Miał ochotę wytłumaczyć im to wszystko, ale nie znalazł słów. Wzruszył więc ramionami, postawił pustą szklankę na kuchennym blacie tuż obok pudełka z aspiryną i poszedł do łazienki. Miał nadzieję, że po kąpieli i goleniu znów poczuje się jak istota ludzka.

Tymczasem Rusty wziął pozostawioną przez Joego szklankę i przeniósł ją w pobliże zlewu. Przysunął sobie krzeselko, bo bez tego nie mógłby dosięgnąć do kranu.

Kim uważnie mu się przyglądała. Wreszcie wyjęła palec z buzi.

- Chcesz, żeby ci zmaląła głowa? - zapytała braciszka.

- Coś ty, to nie działa. Jego głowa wcale nie zmaląła.

Kim zamyśliła się głęboko. Rusty tymczasem odkręcił kran i napełnił szklankę wodą. Zeskoczył z krzesła, wziął pudełko z aspiryną i wysypał z niego kilka tabletek.

- One są zaczarowane - powiedziała Kimmie.

- No - Rusty skinął głową. - Zobacz!

Wrzucił do szklanki dwie tabletki i oboje, jak urzeczeni, wpatrywali się w ulatujące z tabletek bąbelki.

- O rany - wyszeptał Rusty.

Kim patrzyła na bąbelki i zaśmiewała się do łez.

- Zrób to jeszcze raz - poprosiła, gdy tabletki całkiem się rozpuściły.

- Dobra.

Rusty stanął na krzeselku, wyjął z kredensu kilka szklanek, napełnił je wszystkie wodą i ustawił obok siebie na blacie. Do każdej z nich wrzucił kilka musujących tabletek. Kimmie cały czas się śmiała.

- Jeszcze! Jeszcze! - wołała.

- Nie ma już szklanek. - Rusty patrzył ze smutkiem na trzy ostatnie tabletki. Po chwili wpadł mu do głowy świetny pomysł. - Rybki też lubią bąbelki!

- No pewnie. - Kim bez wahania utwierdziła go w tym przekonaniu: - Idziemy.

Pobiegli do pokoju tak szybko, że o mało się nawzajem nie poprzewracali.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Chynna usłyszała krzyk jastrzębia. Odsunęła zasłonę i wyrzała przez okno. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak ten piękny ptak szybuje ponad koronami drzew. Nie wiedziała, dlaczego krzyk jastrzębia obudził w niej taką radość, choć wieczorne wycie wilków tak bardzo jąstraszyło.

- Jest dzień - wytłumaczyła sobie głośno. - W dzień wszystko wydaje się mniej straszne.

A ponieważ na Alasce o tej porze roku dzień jest znacznie dłuższy od nocy, życie także nabrało blasku.

- Pokocham to miejsce - powiedziała Chynna.

Sprzątała dom, szorowała meble i podłogi, układała powrzucone do szaf byle jak rzeczy. Wciąż jednak nie chciała się przyznać, że robi to wszystko dlatego, żeby nie myśleć i tym samym nie przyjmować do wiadomości pewnych faktów. Krzyk jastrzębia jakby przywrócił jej przytomność. Postanowiła wreszcie rozejrzeć się w sytuacji i postanowić, co robić dalej.

Usiadła w obszernym, wygodnym fotelu. Westchnęła i zamknęła oczy. Przez kilka ostatnich tygodni zajmowała się, wyłącznie zamykaniem kolejnych spraw, które łączyły ją z życiem w mieście i przygotowaniem do wyjazdu na Alaskę. Sprzedała wszystkie meble, porządowała swoje ubrania. Zabrała ze sobą tylko to, co uważała za absolutnie niezbędne.

W marzeniach wyobrażała sobie Alaskę jako raj na ziemi, gdzie powietrze jest czyste, trawa zielona, a ludzie wolni i szczęśliwi. Chciała, żeby jej dzieci miały kontakt z naturą, a nie tylko oglądały ją od czasu do czasu w telewizji. Uważała Alaskę za idealne miejsce do dorastania, prostowania skrzydeł, za kraj nieskończonych możliwości.

O takim miejscu marzyła, odkąd urodziła się Kimmie, odkąd zginął Kevin, odkąd ich rodzina straciła jedyny punkt oparcia na ziemi. W Chicago zarobki nigdy nie starczały na opłacenie czynszu i przedszkola, a uregulowanie kolejnego rachunku wymagało wysiłku porównywalnego z tym, który trzeba włożyć w zdobycie bieguna północnego. W Chicago dzieci nie mogły same bawić się poza domem, nie tak jak tutaj.

Dlatego właśnie przyszedł jej do głowy pomysł, żeby zgłosić się do agencji. Wiedziała, że nigdy już nie pokocha żadnego mężczyzny tak, jak kochała Kevina. Ale mogła być dobrą żoną i stworzyć jakiegoś porządnemu człowiekowi prawdziwy dom. Pod warunkiem, oczywiście, że on zastąpiłby ojca jej dzieciom. Chynna uważała, że to uczciwa wymiana.

Nigdy jednak nie posunęła się w swoich rozważaniach ani o krok dalej. Nie zastanawiała się, co zrobi, kiedy zjawi się z dziećmi i z bagażami na Alasce, a mężczyzna, którego wybrała, stwierdzi, że jednak się z nią nie ożeni. Była tak bardzo pewna siebie. A jednak...

Greg wcale nie wygląda na zakochanego, pomyślała gorzko. To miły człowiek i bardzo atrakcyjny. Mogłabym go polubić. Naprawdę miałam szczęście, że w ogóle do mnie napisał. Jedyny problem w tym, że on nie lubi moich dzieci. Muszę go do nich jakoś przekonać.

Wiedziała, że powinna uwieść Grega. Naprawdę nie miała innego wyjścia. Tamten pocałunek przekonał ją, że nie będzie to wcale takie trudne. Choć z drugiej strony... Zawsze była kobietą niezależną i nigdy nie musiała żebrać o miłość, dlatego sama myśl o czymś takim mroziła jej krew w żyłach. A jednak zdarzają się w życiu takie chwile, kiedy trzeba zrobić coś, na co wcale nie ma się ochoty.

- Poradzę sobie - szepnęła. - Muszę.

W tej chwili, jak na zawołanie, w drzwiach stanął Joe. Może los chciał dać jej sposobność realizacji powziętego postanowienia.

- Tutaj jesteś - powiedział Joe takim tonem, jakby od dawna jej szukał. Rozejrzał się po pokoju. Od razu zauważył, że i tu posprzątała. - Naprawdę nie musisz tego robić - powtórzył raz jeszcze i wtedy zobaczył leżący na stercie przeznaczonych do wyrzucenia czasopism katalog. - Chyba nie wyrzucisz tego katalogu? - Wziął go do ręki i zaczął wertować. - Jeszcze całego nie obejrzałem.

Chynna nie mogła patrzeć na ten katalog. Był symbolem jej desperackiej decyzji. Czuła wprawdzie zadowolenie z tego, co dzięki katalogowi ją spotkało, nie mogła jednak spokojnie myśleć o tym, że życie zmusiło ją do wystawienia na sprzedaż samej siebie. Jakże nisko upadła!

- Nie będzie ci już potrzebny. - Uśmiechem pokryła niewesołe myśli. - Masz mnie.

- Greg cię tu sprowadził. - Joe spojrzał jej prosto w oczy. - Ja nie jestem Gregiem. A to co takiego? - zapytał, zanim zdążyła się odezwać. Jego wzrok padł na stertę pism pornograficznych.

- Twoje ulubione czasopisma - odparła Chynna, sprawdzwszy

przedtem, co go tak zainteresowało. - Chciałabym wyrzucić stąd wszystkie niepotrzebne rzeczy. Te, co do których nie mam pewności, czy są potrzebne, układam w sterty. Joe trochę za długo przyglądał się dobrze zbudowanej dziewczynie z okładki. Zaczerwienił się po same uszy, więc szybko rzucił na stertę inne czasopismo. Chynna zauważyła jego zakłopotanie.

- Jeśli przez tyle lat miałeś do czynienia z takimi kobietami, to nic dziwnego, że z nimi przegrałam - zażartowała.

Joe zapomniał języka w gębie. Znowu go zaskoczyła. W niczym nie przypominała kobiet, które go otaczały. Miał wrażenie, że bez przerwy z niego kpiła. Nigdy zresztą, mu to nie przeszkadzało, pod warunkiem jednak, że kpiny były uzasadnione. Ale te pisemka nie należały do niego. Joe chciał, żeby Chynna o tym wiedziała.

- To nie są moje pisma, tylko Grega - powiedział.

- Daj spokój, Greg. Nie sądzisz, że czas już skończyć tę maskaradę?

- Nie. - Joe się zdenerwował. Nawet uderzył pięścią w stół dla podkreślenia ważności tego, co ma do powiedzenia. Pisma pospadały na podłogę, ukazując bogaty zbiór rozebranych pań. Bardzo go ter. widok krępował, ale tym razem postanowił nic w tej sprawie nie robić. Miał przecież poważniejszy problem do rozwiązania. - To nie jest żadna maskarada. Nie wiem, co mam zrobić, żebyś wreszcie uwierzyła, że ja nie jestem Gregiem. - Wyjął z kieszeni portfel i podsunął jej pod nos swoje prawo jazdy. Nie rozumiał, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał. - Widzisz? Tu jest napisane: Joe Camden. Mieszkam w Los Angeles. Widzisz?



Chynna spojrzała na dokument. Potem na Joego. I raz jeszcze zerknęła na dokument.

A jeśli to prawda? pomyślała przestraszona. Jeśli on rzeczywiście nie jest tym człowiekiem, którego miałam poślubić? Ale gdzie, wobec tego, jest Greg? Nie, nic z tego. Ja chcę, żeby ten mężczyzna był Gregiem. On mi się podoba. Muszę tylko sprawić, żeby mnie zechciał, i wszystko będzie w porządku.

- Tu nie ma zdjęcia - powiedziała, dotykając palcem prawa jazdy.

- Bo to jest przedłużone prawo jazdy. Od lat nie miałem żadnego mandatu, więc kiedy kończy się ważność poprzedniego, urząd sam mi przysyła nowe. - Pogrzebał w portfelu i wyciągnął stamtąd swoje pierwsze prawo jazdy. Było pogniecione, a zdjęcie pogięte i spłowiałe.

- Widzisz? Tu jest zdjęcie. To przecież ja.

Chynna dokładnie obejrzała sobie zdjęcie. Przedstawiało piętnastoletniego chłopca, młodszą wersję mężczyzny, którego miała teraz przed sobą. Miał dłuższe włosy i jego twarz wyglądała trochę inaczej.

- To nie ty - powiedziała.

- Zwariowałaś? - Spojrzał na zdjęcie. Musiał przyznać, że istotnie na tym zdjęciu nie jest bardzo podobny do siebie jako do dorosłego mężczyzny. - Oczywiście, że to ja. Zdjęcie zostało zrobione tuż po tym, jak skończyłem college. Pewnie, że trochę się zmieniłem, ale to przecież ja.

- Prawie ci się udało. - Chynna protekcjonalnie poklepała go po ramieniu.

- Nie przekonało cię nawet moje prawo jazdy? - oburzył się Joe. - To urzędowy dokument.

- Oczywiście, wierzę, że istnieje jakiś Joe Camden. Ja tylko nie wierzę, że ty nim jesteś.

- Posłuchaj. - Zirytowany Joe schował portfel z powrotem do kieszeni. - Spójrzmy na to z innej strony. Gdybym był Gregiem, gdybym to ja wybrał cię z tego katalogu i wysłał pieniądze na podróż, to po co bym się tak wygłupiał? Przecież naprawdę jesteś bardzo ładna. Więc jaki bym miał interes w tym, żeby cię stąd wyrzucać? I dlaczego, na litość boską, dotąd jeszcze nie poszedłem z tobą do łóżka?

- Może w ostatniej chwili się przestraszyłeś. - Chynna wzruszyła ramionami. - Naprawdę nie wiem.

- Czy ty myślisz, że ja jestem nienormalny? A może ślepy? Takich kobiet, jak ty, nie spotyka się codziennie. Gdybym był Gregiem, to już bym wypróbował, jak nam się może ułożyć życie. Gdybym miał do ciebie prawo... - zamilkł, bo zdał sobie sprawę, że może powiedzieć coś, czego z całą pewnością mówić nie powinien.

Ale Chynna chciała, żeby mówił dalej.

- Co byś zrobił, gdybyś miał do mnie prawo? - zapytała cicho, dotykając jego ramienia. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Czowała, że los daje jej szansę, na którą czekała. Wiedziała też, że jeśli teraz tej szansy nie wykorzysta, to ona już więcej się nie powtórzy i walka zostanie przegrana.

- Co bym zrobił? - powtórzył bezwiednie Joe. - Nieważ -ne... To teraz nie ma znaczenia. Chodzi o to, że... - Joe już nie wiedział, o co właściwie chodzi. Zapomniał. Spoczywająca na jego ramieniu dłoń Chynny wprowadzała jego puls w szaleńczy rytm. - Nie rób tego - prosił.

- Dlaczego? Dlaczego nie mielibyśmy spróbować, jak się nam ułoży?

Propozycja była kusząca, ale Joe nie chciał z niej skorzystać. Mocno chwycił Chynnę za nadgarstki, żeby nie mogła go dalej kusić.

- Ponieważ ja nie jestem Gregiem - oświadczył stanowczo.

- A nie mógłbyś' trochę poudawać? - szepnęła, unosząc do góry głowę, żeby ułatwić mu pocałunek.

Joe nie był ze stali. Był człowiekiem z krwi i kości, a jednak spróbował raz jeszcze zwalczyć pokusę.

- Nie, Chynno. - Udawał, że nie widzi jej koralowych ust. - Ty nie należysz do mnie. Nie mogę udawać, że jest inaczej.

- A ja mogę. - Uwolniła ręce z jego uścisku i zarzuciła mu je na szyję. Mocno się do niego przytuliła. - To wcale nie jest trudne. Spróbuj.

Joe westchnął. Miała taką delikatną skórę, gorące usta, jędrne piersi... Pocałował ją. Poczuł, jakby się topił- Trzymał się jej kurczowo, bojąc się, że całkiem się zanurzy.

Chynna była uszczęśliwiona. Wprawdzie to ona namówiła Joego do tego pocałunku, ale potem już do niczego nie musiała go namawiać. Był podniecony i pragnął jej. Tak samo jak w nocy. A więc jednak się nie myliła. Bardzo jej pragnął i tym razem tulił ją do siebie tak mocno, jakby chciał jej pokazać, ile ryzykuje, igrając z jego żądzą.

Chynna także go pragnęła. W pewnej chwili zdała sobie sprawę z tego, że pragnie go bardziej niż Kevina w pierwszych latach ich związku, kiedy oboje byli jeszcze tacy młodzi. Nie rozumiała, jak to się stało, że tak gwałtownie zareagowała na bliskość tego mężczyzny. Zresztą chyba nawet nie bardzo chciała o tym wiedzieć.

Zabrakło jej tchu w piersiach. Ale przerwanie tego pocałunku zda-

wało się jeszcze trudniejsze niż wtedy, w nocy. Tym trudniejsze, że on wcale nie miał zamiaru jej puścić.

- Nie próbuj więcej zaczynać tego, czego nie chcesz skończyć, Chynno - powiedział cicho, patrząc jej prosto w oczy. - Mnie nie można włączać i wyłączać jak światła.

- Ja... chcę skończyć - brnęła mężnie Chynna. - Po to tu przecież przyjechałam. Ale nie teraz. Dzieci mogą wejść... Wieczorem...

- Wieczorem już cię tu nie będzie. - Joe wreszcie ją puścił. - Mówiłem ci, że dziś musicie stąd wyjechać. W tej sprawie nic się nie zmieniło.

- A ja ci powiedziałam, że zostaję - odrzekła stanowczo.

- Uważasz, że nabyłaś prawo do tego domu z tytułu zasiedzenia? - zażartował.

- Mam kontrakt. - Chynna skorzystała z okazji, że eby rodzącą się sprzeczkę obrócić w żart. - Chciałbyś go może raz jeszcze obejrzeć?

- Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że nie możecie tu zostać? - zniecierpliwił się Joe. Po chwili jednak się opanował. Wiedział, że musi być jakiś sposób, żeby ją przekonać, wytłumaczyć, dlaczego nie powinna tu zostawać. - Wyglądasz na nowoczesną, niezależną kobietę. Jeśli zostaniesz, nie będziesz mogła robić nic więcej, tylko prowadzić dom i wychowywać dzieci. Wkrótce obrzydnie ci takie życie i poczujesz się jak w klatce.

Chynna poweselała. Joe przypadkiem trafił na jej ulubiony temat. Była zwolenniczką rodziny tradycyjnej i w każdej chwili gotowa była bronić swoich racji.

- Może nie zauważyłeś, ale świat ostatnio bardzo zszedł na psy. Nie przyszło ci do głowy, że może przez to, że w domu nie ma nikogo, kto

tak naprawdę zajmowałby się wychowywaniem dzieci? Ktoś przecież musi dobrym, zdrowym dzieciom pomóc wyrosnąć na uczciwych ludzi.

- Coś mi się obiło o uszy. - Joe zerknął na nią podejrzliwie. Niewiele znanych mu kobiet odważyłoby się powiedzieć coś podobnego. Choć przecież, z drugiej strony, nie znał żadnej kobiety podobnej do Chynny. - No to mi powiedz, co robiłaś, zanim zaczęłaś wychowywać dzieci?

- Pracowałam w dużej agencji reklamowej. Byłam dobrym pracownikiem i uczciwie zarabiałam na swoją pensję, ale kiedy zdecydowałam się urodzić dziecko, zrezygnowałam z tego. Wychowywanie dzieci to ciężka, odpowiedzialna i pochłaniająca bez reszty praca.

- I nigdy nie żałowałaś swojej decyzji?

- Chyba żartujesz! Zarabianie nawet dużych pieniędzy w żaden sposób nie da się porównać z obserwowaniem rozwoju własnego dziecka.

- Mam rozumieć, że w taki sposób chcesz przeżyć resztę swojego życia?

- Jaką znowu resztę? To tylko maleńki kawałek życia. Kiedy dzieci podrosną, będą miały piętnaście, szesnaście lat, pewnie znowu zaczną pracować. Przynajmniej na pół etatu. Albo założę jakąś własną firmę. A kiedy pozdają matury, będę mogła poświęcić się pracy. Mam jeszcze mnóstwo życia przed sobą - uśmiechnęła się do niego.

Joe pomyślał sobie, że ona jest bardzo pewna swoich racji. Widocznie doskonale sobie to wszystko przemyślała.

- No widzisz, dlatego właśnie nie powinnaś tu zostawać - powiedział. - Tu nigdy nie znajdziesz żadnej pracy. Nawet własnej firmy nie będziesz mogła założyć.

- A dlaczego nie? - Chynna ani myślała dać za wygraną. - Ktoś przecież założył w miasteczku gabinet manicure. Mogłabym zrobić coś podobnego.

- W miasteczku! - prychnął Joe. - Ty, która całe życie spędziłaś w Chicago, nazywasz ten przyszc na drodze miasteczkiem?

- Jest maleńkie, ale bezpieczne.

- Niestety, nie możesz tu zostać. Musisz wreszcie przyjąć to do wiadomości.

- Dlaczego? - Chynna gotowa była walczyć jak lwica o przyszłość swoich dzieci.

- Bo nie! Nie rozumiesz? Zobacz, jak tu prymitywnie!

- Mnie to nie przeszkadza - upierała się Chynna. - Jeśli trzeba będzie, mogę nawet mieszkać w namiocie. Podpisałam umowę, z której wynika, że mam poślubić Grega Camdena.

- I choćby się paliło i waliło, ty się z tej umowy wywiążesz - dokończył za nią Joe. Podziwiał ją, choć jednocześnie tak bardzo go irytowała.

- Jakbyś zgadł. - Spojrzała mu prosto w oczy.

Wobec tego sytuacja wygląda jeszcze gorzej, niż sądziłem, pomyślał z żalem Joe. Ona rzeczywiście chce się wywiązać z umowy, która zobowiązuje ją do poślubienia Grega. Nie mam prawa nawet jej dotykać i, jak Boga kocham, więcej już tego nie zrobię.

Odwrócił się i zamierzał wyjść z pokoju.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała z obawą w głosie. Może bała się, że on także ucieknie w góry.

- Chcę sprawdzić, w jakim stanie są zabudowania.

- A co mam zrobić z tymi wszystkimi pismami? - zawołała za nim Chynna.

- Co chcesz - wzruszył ramionami. - Możesz je wyrzucić albo spalić. Mnie one są niepotrzebne. Jeśli zechcę obejrzeć seksowną kobietkę, zawsze mogę popatrzeć na ciebie.

- Wielkie dzięki - mruknęła czerwona jak burak Chynna. Ale Joe już tego nie słyszał. Po prostu od niej uciekł. Chynna jednak była dobrej myśli, bo skoro tak myślał, jak powiedział, to w końcu na pewno uda się jej nakłonić go do małżeństwa.

Zebrała swoje ścierki, kubelek i detergenty. Podśpiewując z cicha, zeszła na dół. Nie zmartwiła się zbytnio, nie zastawszy dzieci w salonie. Pomyślała, że bawią się cicho gdzieś w pobliżu. Dopiero kiedy weszła do kuchni, kroplisty pot wystąpił jej na czoło. Wszędzie było pełno szklanek. Jedne z nich napełnione płynem, inne poprzewracane. Puste opakowanie po aspirynie świadczyło dobitnie o tym, co zawierały szklanki. Chynna usłyszała dobiegający z sąsiedniego pokoju śmiech Kimmie. Pobiegła tam co sił w nogach.

- Popatrz na Piranię - usłyszała rozbawiony głosik Rusty'ego. - Jej też się to podoba.

W stodole panował nieziemski bałagan. Widocznie dawno nikt tu nie zaglądał. Za to stajnia była w idealnym porządku. Prawdopodobnie Greg miał konia. Pewnie na tym właśnie koniu pojechał w góry.

Joe pamiętał czasy, kiedy stajnia była pełna koni, a stodoła najlepiej zaopatrzona w całej okolicy. Jego ojciec był niezwykłym człowiekiem. Całe życie ciężko pracował, a gospodarstwo prowadził tak, jak kapitan prowadzi okręt. Czasami jednak na całe tygodnie przepadał w górach. Już w kilka lat po jego śmierci gospodarstwo zaczęło chylić się ku upadkowi. Matka starała się, jak mogła, ale ona nigdy nie kochała tej

ziemi tak bardzo jak ojciec. Ostatnie lata spędzone tutaj poświęciła głównie na przygotowanie Joego do college'u, a potem do rozpoczęcia studiów prawniczych. Nikt nie zajmował się gospodarstwem. Joe osiedlił się w Los Angeles, jego matka w Anchorage, a Greg całymi tygodniami przebywał w górach.

Matka zawsze ubolewała nad tym, że młodszy syn marnuje sobie życie. Joe także nie miał do brata cierpliwości, ale to wszystko w najmniejszy nawet sposób nie zmąciło Gregowi radości życia. Czasami zdawało się nawet, że im bardziej złościł się Joe, tym bardziej szczęśliwy był Greg. Joe był pewien, że gdyby tylko brat potrafił przewidzieć jego przyjazd do rodzinnego domu, celowo stworzyłby właśnie taką sytuację, jaką Joe tu zastał. Tylko po to, żeby go udęczyć.

Joe usłyszał tętent konia i wyrwał ze stajni. Na podwórko wjechał jeździec. Miał długie włosy, gęstą brodę i stare, znoszone ubranie. Przez moment Joe pomyślał, że może to Greg wreszcie się pojawił. Dopiero po chwili stwierdził, że ten człowiek jest znacznie od niego starszy. Sądząc po zapachu, co najmniej od dziesięciu lat nie miał kontaktu ze zdobyczami cywilizacji, a prysznic nie widział od bardzo dawna.

- Sie masz - powiedział mężczyzna, osadziwszy konia w miejscu. - Słyszałem, że masz kobietę, której nikt nie chce.

- Chyba źle cię zrozumiałem. - Joe podniósł głowę i przymrużonymi oczami spoglądał na przybysza.

- Podobno przyjechała jakaś kobieta, z którą twój brat miał się ożenić. Ale stchórzył.



- Ciekawe, kto ci o tym powiedział. - Joe nie mógł się dość nadziwić, jak szybko rozchodzą się wieści w tej okolicy, w której jest tylko jeden telefon.

- Popiłem sobie wczoraj z kumplami i któryś z nich wspomniał o twoim kłopotcie. No to przyjechałem, żeby ci pomóc. - Mężczyzna rozglądał się po podwórzu, jakby miał nadzieję dojrzeć gdzieś nie chcianą narzeczoną.

- Ciekaw jestem, jak zamierzasz mi pomóc? - zapytał Joe rozbawiony całą sytuacją. Jak w ogóle mogło temu brudasowi przyjść do głowy, że ma jakiegokolwiek szanse?

- Jeśli jest ładna, to sam bym się z nią ożenił - odrzekł bez wahania przybysz.

- A jeśli nie jest ładna? - wypytywał coraz bardziej ubawiony Joe.

- Nie spodobałaby mi się tylko wtedy, gdyby była brzydsza od borsuka - prychnął jeździec. - Tyle czasu jestem sam, że prawie zapomniałem, co to jest kobieta. Dopiero kiedy się okazało, że masz jedną na zbyciu...

Świetnie powiedziane, pomyślał Joe. Ciekawe, co na to Chynna.

Ale tak naprawdę wcale nie chciał jej mieszać w to zajście. Może i było zabawne, ale przecież w każdej chwili mogło się stać niebezpieczne. Mężczyzna był uzbrojony.

- Właściwie jest ładna - powiedział Joe - ale obawiam się że nie jest w twoim typie. Nie nadaje się dla ciebie. Nie cierpi brudu, wiatru i wilków. Alaska też się jej nie spodobała. Nie może się doczekać, kiedy będzie mogła wreszcie stąd wyjechać. Właśnie szukam kogoś, kto by ją zawiózł do Anchorage. - Pokręcił głową. - Przykro mi, stary, ale tym razem nie trafiłeś. Będzie tu zbyt krótko, żebyście mieli okazję się poznać.

- Mnie tam wystarczy tydzień - mruknął przybysz. - Daj mi na nią popatrzeć.

- Jeśli tak bardzo potrzebujesz kobiety, to pojedź do Anchorage i przywieź sobie narzeczoną.

- Nie ma mowy. - Obcy posłał mu takie spojrzenie, jakby Joe zaproponował, żeby sobie ugotował zupę z talerzy.

- No cóż, przykro mi. - Joe wzruszył ramionami. - Nie mogę ci pomóc.

- To mnie przykro, że nie mogę pomóc tobie.

- Niech i tak będzie - zgodził się Joe. - Do zobaczenia.

Mężczyzna zawrócił konia i dopiero wtedy Joe przypomniał sobie coś naprawdę ważnego.

- Znasz mojego brata? - zapytał.

- No.

- A widziałeś go gdzieś?

- Nie.

- Jak go zobaczysz, to mu powiedz, że go szukam, dobra?

- Widziałem kogoś, kto widział twojego brata - powiedział obcy.

- Gdzie?

- Powiedział, że poszedł w góry. Poluje.

- Wobec tego pewnie niedługo wróci.

- Pewnie tak. No to na razie.

- Na razie.

Joe patrzył w ślad za odjeżdżającym mężczyzną i zastanawiał się, czy powinien opowiedzieć o nim Chynnie. Zdecydował, że tym razem jeszcze nic jej nie powie. Ale był pewien, bardziej niż przedtem, że musi ją jak najprędzej wyprawić do domu. Samotna kobieta w takim miejscu w końcu musi sprowadzić na siebie kłopoty. A Joe nie za-

mierzał poświęcić życia na walkę z mężczyznami, którzy mieliby ochotę zawlec ją do swej jaskini. Miał dość problemów z trzymaniem na wodzy własnych żądy.

Odwrócił się na pięcie i poszedł do domu. W drzwiach czekała na niego Chynna. Minę miała taką, jakby dotknęła ją straszna tragedia.

- Tak mi przykro, Greg - powiedziała. - Mam nadzieję... Nie wiem, czy się uda, ale moglibyśmy je jeszcze uratować.

- O czym ty mówisz? - Joe się zdenerwował. Czyżby coś złego stało się dzieciom?

- Twoje rybki...

- Ach, rybki. - Joe dopiero po chwili przypomniał sobie o rybkach Grega. - Co im się stało?

Chynna nerwowo zagryzła wargi. Wiedziała, że nie polubił jej dzieci, a incydent z rybkami na pewno tego stanu rzeczy nie zmieni. Nie mogła go jednak oszukiwać'. Jeśli miała nadzieję na jakąkolwiek przyszłość z tym mężczyzną, musiała zdobyć się na szczerość.

- No więc... - zaczęła. - Dzieci widziały, jak brałaś aspirynę...

- No i co?

- Wrzuciły kilka tabletek do akwarium.

- Co takiego?

- Bardzo cię przepraszam. Dzieciom też jest przykro. Kimmie płacze, bo zrozumiała, że mogła zabić rybki. Zmieniłam im wodę... Pływają, ale...

- Chynno... - Joe śmiał się do łez. Widział jej najpierw zdziwioną, a potem obrażoną minę, ale nie mógł się powstrzymać. - Z początku myślałem, że chodzi ci o dzieci- wydusił w przerwie między atakami

śmiechu. - A rybki... Nie martw się, jakoś to przeżyję. Nawet gdyby miało je spotkać najgorsze.

- Za to ja niekoniecznie - mruknęła zbita z tropu Chynna. Tak bardzo się denerwowała, a on tymczasem nawet się nie zmartwił. Oczywiście, była zadowolona, że się nie wścieka, ale żeby tak się śmiać... - Rusty już zaplanował ceremonię pogrzebową. Chce, żebym mu napisała mowę.

- To chyba nic trudnego. - Joe uśmiechnął się.

- Jeśli tak twierdzisz, to sam napisz tę mowę. - Chynna wreszcie się rozpogodziła.

- Ty na pewno lepiej to zrobisz. Jesteś troskliwą, współczującą kobietą, a ja tylko realistą bez serca. - Roześmiał się cicho. Cała ta sytuacja coraz bardziej go bawiła. - Poza tym to ty urodziłaś tych małych mordców złotych rybek, więc musisz teraz napisać mowę.

Chynna wreszcie mogła odetchnąć. Wcale nie zanosilo się na kryzys, jakiego się spodziewała, kiedy znalazła swoje pociechy nad walczącymi o tlen rybkami.

- To dobre dzieci - powiedziała. - Mam nadzieję, że będziesz dla nich wyrozumiała.

Joe przestał się uśmiechać. Nie miało sensu dłużej grać komedii. Należało stawić czoło sytuacji.

- Prawdę mówiąc, mam zamiar się was pozbyć. Ubierz dzieci. Jedziemy do miasteczka. Zorganizuję wam jakiś transport do Anchorage. Nawet gdybym miał wynająć psi zaprzęg.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wysadzę was przed sklepem - powiedział Joe. - Możesz sobie tam kupić kanapki na drogę i wszystko, czego potrzebujesz.

- A ty co będziesz w tym czasie robił? - zapytała Chynna.

- Spróbuję zorganizować wam jakiś transport do Anchorage. - Joe nawet na nią nie spojrzał.

Chynna także patrzyła przed siebie. Może sobie organizować, co tylko zechce, myślała, ale na szczęście do niczego nie może mnie zmusić. Jeśli nie wywiąże się z umowy, straci prawo do decydowania o moim losie. A ja się stąd nie ruszę i już.

Na horyzoncie pojawiły się drewniane domki miasteczka. Wyglądały jak dekoracja do filmu o Dzikim Zachodzie i od razu przypadły jej do serca.

Joe zatrzymał samochód przed sklepem.

- Annie da ci wszystko, czego potrzebujesz - powiedział.

- Potrzebuję męża. - Chynna spojrzała na niego znacząco.

- O to też możesz ją zapytać. - Joe usiłował żartować. - Może mieć na składzie kilku chętnych.

Chynna wysiadła z samochodu naburmuszona. Pomogła wysiąść

dzieciom i powoli weszła na schodki prowadzane do sklepu.

Wnętrze lokalu przypominało sklepy z przełomu wieku. Zresztą prawdopodobnie w tym właśnie okresie je urządzano. Sklep był dobrze zaopatrzony. Na wysokich, sięgających aż do sufitu półkach stały ciasno upakowane towary.

Choć było ciepło, mężczyźni zgromadzili się wokół kominka. Rozmawiali, ale kiedy Chynna weszła do środka, zamilkli. Patrzyli na nią i jej dzieci, jak gdyby nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widzieli.

- Czy wiecie może, gdzie mogłabym znaleźć Annie? - zapytała nie zrażona tym dziwnym przyjęciem Chynna.

Mężczyźni, jak na komendę, zaczęli się przekrzykiwać jeden przez drugiego. W tej samej chwili wyszła z zaplecza siwowłosa kobieta.

- Czym mogę służyć? - zapytała, spoglądając na Chynnę ze zdziwieniem.

- Nazywam się Chynna Sinclair. A to moje dzieci: Kimmie i Rusty - powiedziała Chynna. - Przylecieliśmy wczoraj samolotem pocztowym.

- Czy to ty jesteś tą kobietą, która ma poślubić Grega Camdena? - Annie nie posiadała się ze zdziwienia.

- To właśnie ja - przyznała nieco zbity z tropu Chynna.

- Moje biedactwo... - Annie wzięła ją za rękę. - Nigdy bym się nie spodziewała... Greg wspominał mi, że ma do niego przyjechać jakaś kobieta, ale do głowy by mi nie przyszło, że będzie taka...

- Cholernie ładną - dokończył za nią jeden z mężczyzn. Podniósł się z krzesła i podszedł do kontuaru. - Ten Greg to szczęściarz.

Chynna zaczerwieniła się. Wzrokiem poszukała swoich pociech. Stały obok mężczyzny, który, ku ich uciesze, wyczarowywał monety z powietrza. Chynna także się ucieszyła, bo nie chciała rozmawiać o Gregu w obecności dzieci. Skoro jednak były zajęte, nie musiała się kępować. Tym bardziej że Annie od pierwszej chwili wzbudziła nie tylko jej sympatię, ale i zaufanie. Stojący przy kontuarze mężczyzna (Annie mówiła do niego Roger) także ze współczuciem patrzył na Chynnę. A ona bardzo potrzebowała bratniej duszy.

- Kłopot w tym, że Greg jednak mnie nie chce - powiedziała cicho.

- Nie chce? Ciebie? - zapytała zdumiona Annie. - Ten zasmarkany tchórz nie chce się z tobą żenić? Jak on śmie!

Ten opis nie bardzo pasował do przystojnego mężczyzny, z którym Chynna spędziła ostatnią dobę, ale Roger z zapałem przytakiwał słowom Annie, więc coś w tym musiało być.

- To przygłup - mrucał Roger. - Zawsze taki był. Kiedyś trzymał w domu skunksa. Od dziecka był idiotą.

Chynna nie bardzo mogła sobie wyobrazić, jak ktoś taki jak Greg może trzymać w domu skunksa. Ale w końcu przecież wcale go nie znała.

- W każdym razie chce nas jak najprędzej odesłać do Chicago.

- Słyszałam, że były jakieś problemy, ale myślałam, że wszystko dobrze się ułoży, jak Greg wreszcie weźmie się w garść.

- Najpierw powinien się ostrzec - mrucał Roger. -Przez te długie włosy nie słyszy nawet dobrych rad, które mu tu wszyscy kładziemy do głowy.

- Ma długie włosy? - zdziwiła się Chynna. Greg nie miał długich

włosów. Widocznie jednak posłuchał dobrych rad i poszedł się ostrzec.

- No - potwierdził Roger. - Jak nam powiedział, że zamówił sobie żonę, tośmy pomyśleli, że całkiem zwariował. Ale teraz, jak na ciebie patrzę, to myślę że znalazłoby się więcej chętnych do obejrzenia tej książki z której cię wybrał.

- Mówisz, że Greg chce cię odesłać z powrotem do domu? - wtrąciła się Annie. - Powiedział ci to wprost?

- Niczego nie ukrywał. Teraz właśnie pojechał załatwić nam jakiś transport do Anchorage, skąd będziemy mogli odlecieć do Chicago.

- No cóż, nie mamy w Dunmovin wielu kobiet - powiedziała Annie z namysłem. - A te, które tu są... Musimy trzymać się razem, ot co. Chodź ze mną na zaplecze - zaproponowała. - Zaparzę ci kawy i będziemy sobie mogli spokojnie porozmawiać.

- A dzieci?

- Nie martw się, dziećmi też się zajmiemy. Henry! - zawołała do mężczyzny, który, ku wielkiej radości Rusty'ego, właśnie znalazł monetę w jego uchu. - Pokaż dzieciom Cleo i jej małe. Na pewno im się spodobają Cleo to stara tłusta świnia - wyjaśniła Chynnie - ale ma urocze prosiaczki.

Chynna już miała zamiar powiedzieć że dzieci ostatnio wiele przeszły i na pewno będą wołały zostać przy niej, niż chodzić gdzieś z obcym człowiekiem, one tymczasem radośnie wyciągnęły łapki do Henry'ego i wyszły z nim na podwórko. Żadne z nich nie zainteresowało się nawet, co przez czas ich nieobecności będzie robić matka

- Henry potrafi zaczarować dzieciaki - powiedziała Annie, widząc malujące się na twarzy Chynny zaskoczenie.



- Nic im się nie stanie. Możesz spokojnie wypić ze mną kawę.

Na zapleczu było miło i przytulnie. Jak w domu. Chynna usadowiła się w wygodnym fotelu i rozejrzała się po pokoju.

- To twoi synowie? - zapytała, spoglądając na zdjęcie przedstawiające młodych żołnierzy, stojących przy samolocie.

- Tak. Jack i James. Obaj wstąpili do wojska. Żaden z nich nie wrócił.

- Tak mi przykro.

- Zupełnie niepotrzebnie. - Annie się roześmiała. - Nie zginęli, tylko osiedlili się w Kalifornii. Pożenili się, mają dzieci. Niestety, ja prawie nie widuję swoich wnuków. Oczywiście, obaj proszą mnie, żebym do nich przyjechała, żebyśmy razem zamieszkali. Ale ja im powtarzam, że mam Alaskę we krwi. Nie wyjadę stąd i już. Nie mogę.

- Tu rzeczywiście jest bardzo pięknie. - Chynna uśmiechnęła się do niej.

- A jak tu pięknie w zimie. - Annie postawiła na stoliku dwie filiżanki i naląła do nich kawy z ekspresu. - Zupełnie inny świat.

- Nie jestem pewna, czy zostanę tu dość długo, żeby to zobaczyć - westchnęła Chynna. - Wszystko wskazuje na to, że wkrótce stąd wyjadę. Chyba że uda mi się znaleźć jakiś sposób...

- Nie chcesz wyjeżdżać? - Annie uważnie się jej przyjrzała. - Naprawdę chciałabyś tu zostać?

- Naprawdę. Wydaje mi się, że to miejsce najlepiej nadaje się dla dzieci.

- Ach, więc to tak. - Annie ze zrozumieniem skinęła głową. - To dla nich zdecydowałaś się na tę eskapadę?

- Dzieci nie przeszkodzą mi być dobrą żoną - zapewniła Chynna. - Ale przede wszystkim chodziło mi o znalezienie takiego miejsca, gdzie będę mogła spokojnie je wychować.

- Przeklęty Greg - mruknęła Annie, krzywiąc się z obrzydzeniem.

- To właściwie moja wina - tłumaczyła Chynna. Pomyślała sobie, że czasami bardzo trudno jest komuś" powiedzieć całą prawdę. - Nie uprzedziłam go. Nie powiedziałam mu, że mam dzieci. Byłam pewna, że je od razu polubi, a więc to sprawa bez znaczenia, czy go uprzedzę, czy nie. Teraz dopiero rozumiem, że to nie było uczciwe. No cóż, dostałam nauczkę.

- To pewnie był dla niego szok. Myślał raczej o sprawach, w których dzieci zazwyczaj tylko przeszkadzają. - Annie się zamyśliła, a po chwili zapytała bez ogródek: - Czy ty się w nim zakochałaś?

- Ja go prawie nie znam, ale... - przerwała, widząc malujące się na twarzy starszej pani niedowierzanie. - Myślisz, że to niemożliwe?

- Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żeby jakkolwiek dziewczyna kiedykolwiek kochała się w Gregu. Do głowy by mi nie przyszło, że to w ogóle jest możliwe. No i że zdarzy się tak szybko. Myślałam, że trzeba wiele czasu, żeby go polubić.

- Ja bardzo go polubiłam - powiedziała Chynna. Teraz już wiedziała na pewno, że to, co do niego czuła, było czymś głębszym niż zwykła sympatia. - Sprawia wrażenie bardzo wartościowego człowieka.

- Greg? - Annie nie posiadała się ze zdziwienia.

Ale Chynna nie zauważyła zaskoczenia starszej pani. Myślała o tym,

jak Greg delikatnie obchodził się z jej dziećmi, choć gołym okiem widać było, że zupełnie nie ma do nich podejścia. A potem przypomniała sobie, jaki był skrepowany, kiedy pytała go, co zrobić z pismami pornograficznymi, i o tym, jak mężnie odpierał jej zaloty. Potem wróciła pamięcią do chwili, gdy się całowali, i przypomniała sobie, jak było jej przyjemnie. Posmutniała. A przecież nie przypuszczała, że jakikolwiek mężczyzna mógłby zająć w jej sercu miejsce Kevina. Od jego śmierci minęły trzy lata i Chynna przez ten czas na nikogo nawet uwagi nie zwróciła. Aż do tej pory. Naprawdę miała ochotę zostać z Camdenem. Niestety, on jej nie chciał.

- A co na to wszystko Joe? - zapytała Annie.

- Joe? - zapytała Chynna. A potem nagle, jak grom z jasnego nieba, dotarła o niej cała prawda o tym, co od początku próbował jej wytłumaczyć ten mężczyzna, którego uważała za Grega Camdena. - Chodzi ci o brata Grega? - zapytała ostrożnie.

- Oczywiście, że o niego. - Annie uśmiechnęła się na samo wspomnienie Joego. - Był u mnie wczoraj. To taka miła niespodzianka. Mieszka w Los Angeles.

- Oni... - zaczęła Chynna, ale tchu jej zabrakło. Musiała wypić łyk kawy. - Oni nie są do siebie bardzo podobni, prawda?

- Jak woda i ogień - roześmiała się Annie. - Z Gregiem zawsze były kłopoty, za to Joe... Joe to cudowny chłopak. Zawsze miałam do niego słabość. Traktuję go jak swojego syna.

Annie z lubością opowiadała historyjki z młodzieńczych lat obu braci Camdenów. Chynna wprawdzie śmiała się i kiwała głową, lecz tak naprawdę wcale nie słuchała opowieści starszej pani. Myślała tylko o tym, że Joe jednak mówił prawdę. On i Greg to dwie różne osoby.

I co ja teraz zrobię? zastanawiała się, przerażona.

- Mam do ciebie prośbę- powiedziała, kiedy Annie opowiedziała kolejną historyjkę i gdy obie się już dość naśmiały. - Wiem, że prawie się nie znamy, ale ktoś mi przecież musi poradzić.

- Od razu cię polubiłam, moje dziecko - powiedziała Annie. - A ja rzadko kiedy myślę się co do ludzi. Powiedz, o co ci chodzi. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- Dziękuję. - Chynna była szczerze wzruszona. - Posłuchaj...

Dzieci wyglądały przez okno. Narobiły straszego hałasu, kiedy zobaczyły nadjeżdżający samochód Joego i jak szalone wyskoczyły na drogę. Annie pomogła Chynnie zanieść zakupy do samochodu. Kiedy już usadziła dzieci na tylnym siedzeniu, przez uchyloną szybę zawołała do kierowcy:

- Opiekuj się nią, Joe. A Gregowi powiedz, że mu się ode mnie dostanie, jak tylko go zobaczę. Jak można nie chcieć takiej dziewczyny? Zapomniał, że ona dla niego przeleciała taki szmat drogi? Kanalia!

Zaskoczony Joe odwrócił się do Chynny.

- Tylko mi nie powiedz: „A nie mówiłem” - poprosiła cicho.

- Ani razu? - zapytał zadowolony. Widać było, że odetchnął z ulgą.

- Ani razu. Bo pożałujesz.

Joe się roześmiał. Był już najwyższy czas, żeby Chynna uznała prawdę. Oczywiście, jej przekonanie, że ma do czynienia z Gregiem,

miało także swoje dobre strony, Joe jednak Wolał pozostać sobą. Poza tym cieszył się, że Chynna nie ma mu już za złe że udaje brata.

Cała czwórka pomachała Annie na pożegnanie i samochód ruszył. Joe zerknął do lusterka. Zauważył, że Rusty Wprost nie może usiedzieć na miejscu.

- Czemu jesteś taki uszczęśliwiony, Rusty? - zapytał.

- Widzieliśmy małe świnki - powiedział przejęty chłopiec. - Były takie malutkie. - Pokazał rączkami, jakie były świnki. - I przez cały czas piszczwały. - Tak zabawnie naśladował prosięta, że Joe i Chynna śmiali się do rozpuku. -A Hen0 wyjął mi z ucha pieniądze. Mamusiu, mogę się też nauczyć takich sztuczek? Mogę?

- Nie wiem, kochanie. Żeby robić takie sztuczki, trzeba dużo ćwiczyć - Będziesz musiał ciężko pracować.

- Henry mnie nauczy - powiedział Rusty z wielką pewnością siebie.

- Jeśli cię nauczy, to możesz. - Chynna uśmiechnęła się do synka-

Joe nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Rozmowa o przyszłości na Alasce w żaden sposób nie przystawała do faktów- Przynajmniej do tych, które on znał. Postanowił Wtrącić swoje trzy grosze.

- W Chicago na pewno będziesz mógł chodzić na kursy dla magików - powiedział.

- Ale mama powiedziała, że teraz będziemy mieszkać tutaj — powiedział Rusty i zamilkł. Kimmie przez cały czas patrzyła na brata. Ani na chwilę nie wyjęła paluszka z buzi.

Chynna odwróciła się i posłała dzieciom ciepły uśmiech. Ona także milczała.

Wobec tego Joe też postanowił się nie odzywać. Miał zresztą sporo spraw do przemyślenia. Chynna zachowywała się jakoś dziwnie. Była podejrzanie radosna. Nie chciała wracać do Chicago i kiedy ją zostawił przed sklepem, była wściekła. Nie życzyła sobie, żeby organizował wyjazd jej i dzieciom. Joe znał ją już na tyle dobrze, aby wiedzieć, że jeśli zmusi ją do wyjazdu, to Chynna już zawsze będzie uważała się za przegraną. Przyjazd tutaj na pewno wiele ją kosztował. Musiała pożegnać się z dawnym życiem, przygotować psychicznie do nowych warunków... Ale wyjechać stąd musi. I to jak najszybciej, zanim Greg wróci do domu. Im dłużej Joe ją znał, tym bardziej był pewien, że zwaśniowałyby, gdyby wyszła za męża za jego brata.

Joe zatrzymał samochód przed domem. Dzieci natychmiast wyskoczyły z auta i jak szalone biegały po podwórzu. Chynna patrzyła na nie z uśmiechem. Właśnie o takim życiu marzyła. Tego chciała dla swoich pociech. Chciała znaleźć miejsce, gdzie mogłyby się swobodnie bawić, gdzie mogłyby się do woli wybiegać i wyszaleć. Znalazła takie miejsce i ani myślała go opuszczać. Wprawdzie pierwsze podejście jej nie udało, ale miała jeszcze coś w zanadrzu. Postanowiła osiedlić się na Alasce. Za wszelką cenę.

- Przepraszam - powiedziała do Joego, który właśnie wysiadł z samochodu.
- Nie ma za co. - Uśmiechnął się do niej.
- Owszem, jest. Mówiłeś prawdę, a ja ci nie uwierzyłam. Pewnie dlatego, że tak bardzo chciałam, abyś to ty był Gregiem.
- Najważniejsze, że już po wszystkim.
- Za męża pewnie też nie wyjdę - westchnęła Chynna. Bo, o ile wiem, ty nie chcesz się żenić.

Joe pokręcił głową. Pomyślał sobie jednak, że gdyby chciał się ożenić, to na pewno z tą, a nie z żadną inną kobietą na świecie. Na razie jednak nie chciał się z nikim wiązać, a dzieci go przerażały. Nie rozumiał ich i nie chciał zrozumieć.

- Ja się na męża nie nadaję - powiedział.

- Tego się właśnie obawiałam - westchnęła Chynna.

- Mimo wszystko dziękuję za propozycję. - Znów się do niej uśmiechnął.

- Tylko żeby ci się od tego w głowie nie przewróciło - sprowadziła go z powrotem na ziemię. - Zaproponowałabym to każdemu przystojnemu mężczyźnie.

Joe bez trudu odgadł, że próbowała zachować twarz, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Jeśli naprawdę zależy ci na kimkolwiek, to ze znalezieniem kandydata nie będziesz miała kłopotów. Dziś już trzech mężczyzn o ciebie pytało. Jeden z nich wjechał na koniu wprost na podwórze i, o ile dobrze zrozumiałem, gotów był natychmiast zabrać cię do swojego szałas.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - Chynna rozpromieniła się, jakby o takim właśnie rozwiązaniu marzyła. - Mogłabym ich sobie obejrzeć i wybrać tego, który mi przypadnie do gustu.

Joe miał taką minę, jakby uważał ją za osobę niespełna rozumu. Potem się uśmiechnął.

- Nie ma sprawy - powiedział, siadając na schodku. - Kiedy pojawi się tu następny, zaproszę go do domu. Będziesz mu mogła sama powiedzieć, że odpowiada twoim standardom.

- Mam wrażenie, że gdyby to był naprawdę dobry pomysł, nie był-

byś taki zadowolony z siebie - mruknęła Chynna, siadając obok niego.

- Dlaczego tak uważasz? Mamy tu w Duntnovin kilku wspaniałych mężczyzn. A to, że większość z nich od dziesięciu lat się nie goliła, a nie kąpała się co najmniej od Bożego Narodzenia, nie powinno mieć dla ciebie większego znaczenia. - Pokręcił głową, jakby się nad czymś zastanawiał. Po chwili dodał: - Teraz żałuję, że nie miałaś okazji poznać Grega. Ciekaw jestem, jak byś sobie z nim poradziła.

- Więc Greg rzeczywiście uciekł przede mną w góry? - zapytała Chynna.

- Na to wygląda. - Joe zamyślił się. - Pewnie był pijany, kiedy cię zamawiał, a potem pomysł posiadania takiej pięknej żony bardzo mu się spodobał. Ale gdy napisałaś że przyjeżdżasz, przestraszył się. Rzeczywistość go przerosła. Pomyślał, że jak go nie zastaniesz, to wrócisz do domu, i poszedł w góry.

Chynna spojrzała na las. Wydawało jej się nawet że dostrzegła jakiś cień pomiędzy drzewami.

- Myślisz, że jest gdzieś w pobliżu i że na nas patrzy? - zapytała.

- Możliwe. - Joe wzruszył ramionami. - To do niego bardzo podobne.

Chynna milczała chwilę, a potem cicho zaśpiewała piosenkę. Piosenka opowiadała o biednym ptaszku uwięzionym w klatce, o jego żonie, która została w lesie, i o tym, jak oboje umarli z tęsknoty.

Joe zamknął oczy. Głos Chynny miał w sobie coś takiego, że, choćby się nawet nie chciało, wszystkie mięśnie się rozluźniały i człowiek czuł się błogo. Nic nigdy w ten sposób na Joego nie działało. W życiu i na



sali sądowej był nieugięty, ale kiedy Chynna śpiewała, stawał się bezbronny jak niemowlę. Widocznie była czarownicą.

Piosenka się skończyła. Chynna patrzyła na niego i uśmiechała się ciepło. Zdawało mu się, że zaraz się nad nim pochyli, pogłaszczę go po policzku, a może nawet pocałuje. Ale nic takiego się nie stało.

- Jeśli nie chcesz mnie za żonę, to może mogłabym u ciebie pracować - zaproponowała. - Mam wrażenie, że potrafię cię uspić w dowolnym miejscu i o każdej porze.

Roześmiała się, wstała i weszła do domu. A Joe powoli odzyskiwał świadomość. Zastanawiał się, jak ona to robi, że ma na niego taki wielki wpływ. Nigdy przedtem nie poddawał się żadnej manipulacji, a teraz... Naprawdę się przestraszył.

- Nic to - mruknął do siebie. - Wkrótce ta kobieta stąd zniknie i nie będę się musiał nią przejmować.

Chynna odeszła, zanim zdążył jej powiedzieć, że załatwił transport do Anchorage. Może zresztą tak było lepiej. Nie było sensu z nią dyskutować, a ona przecież znów by protestowała. Najważniejsze, że jutro będzie daleko stąd, poza strefą wpływów Grega.

Kiedy wreszcie zdecydował się wrócić do domu, zajęta była dziećmi. Zrobiła im kanapki, posadziła przy stole i z ożywieniem o czymś im opowiadała. Joe także dostał kanapki, ale kiedy usiadł przy stole, ożywione przed chwilą dzieci zamilkły. Rusty'emu wprawdzie wkrótce wrócił humor, za to Kimrnie ani na chwilę nie wyjęła paluszka z buzi i ani na moment nie spuściła Joego z oka. Nie zjadła też ani kęsa.

- Martwię się o nią - powiedziała Chynna, gdy Rusty, po skończonym posiłku, wybiegł na podwórko. - O ile dobrze pamiętam, to od wczoraj nic nie miała w ustach.

Joe niewiele wiedział na temat karmienia dzieci. Nie chciał jednak, żeby jakiegokolwiek dziecko z jego powodu na śmierć się zagłodziło.

- A piła coś? - zapytał, żeby się upewnić, czy aby nie trzeba wezwać lekarza.

- Wypiła trochę soku i szklanę mleka.

- Wobec tego wszystko jest w porządku - pocieszył Chynnę Joe, choć oboje wiedzieli, że nie zna się na tym ani trochę. Przysunął się do dziewczynki i zapytał przymilnie: - Naprawdę nie masz ochoty na tę kanapkę? Mnie ona się wydaje bardzo apetyczna.

Kimmie odchyliła się do tyłu tak mocno, że o mało nie spadła z krzesła. Szeroko otwarte niebieskie oczka przyglądały mu się podejrzliwie. Z całą pewnością nie zjadłaby niczego na prośbę Joego. On tymczasem, jak na złość, zapragnął, żeby go ta mała istotka polubiła. Czuł, że koniecznie musi coś w tej sprawie zrobić. Ale cóż mógł zrobić? Kimmie nie chciała jeść ani mówić i na pewno nie miała ochoty, żeby jej dotykał. W jaki sposób do niej dotrzeć? Joe wiedział, że małe dziewczynki lubią lalki, ale w tej chwili nie miał przy sobie żadnej zabawki. No więc co jeszcze... Zwierzęta!

- Czy chce pan popatrzeć, jak wchodzę na drzewo? - obudził go z zamyślenia głos Rusty'ego. Chłopiec stał w progu i spoglądał na Joego wzrokiem pełnym nadziei, ale gotów w każdej chwili cofnąć swoje zaproszenie, gdyby tylko wyczuł najmniejszą nawet chęć odmowy.

- Pan Camden nie ma na to czasu - odpowiedziała za niego Chynna.

- Chętnie popatrzę - odrzekł Joe, wstając od stołu. - Sam wdrapywałem się po tym starym wiązcie do pokoju, kiedy późno wracałem, a brat zamykał drzwi na klucz.

- Naprawdę? - ucieszył się Rusty. - A spadł pan kiedyś?

- Ze sto razy.

- No, tak - westchnął uszczęśliwiony Rusty. - Każdemu może się zdarzyć...

- Może - zgodził się Joe.

Chynna nie wiedziała, co ma myśleć o tym człowieku. Każdy inny facet będący na jego miejscu odepchnąłby chłopca, powiedział, że nigdy w życiu nie spadł z drzewa, udawałby niezwyciężonego, żeby dziecko go podziwiał. Ale nie Joe. W mgnieniu oka zorientował się, czego chłopcu trzeba, i dał mu to bez wahania. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Dziękuję panu, panie Camden - powiedziała cicho, choć Joe już nie mógł jej usłyszeć. Spojrzała na Kimmie, która uważnie przypatrywała się matce. Chynna pocałowała małą. - I pani także dziękuję, panno Kimmie. Za to, że jest pani taką wspaniałą dziewczynką. A może jednak zjesz chociaż kawałeczek? Wyobraź sobie, że ta kanapka to samolocik. Zobacz, wystartował i krąży, krąży... - Naśladując samolot, Chynna powoli zbliżała kanapkę do buzi Kimmie. - Ląduje!

Otwórz hangar! Już nadlatuje. - Ale mała wciąż ssła palec.

- Otwieraj hangar! Szybciutko!

Kimie stanowczo pokręciła główką. Chynna już wiedziała, że córeczka nie zje ani kęsa. Przynajmniej nie teraz.

- Och, Kimmie. - Chynna upuściła kanapkę na talerz.

- Widzisz? Samolot się rozbił. Nie mógł wlecieć do hangaru.

Spojrzała na Kimmie, ale mała nie zmieniła zdania. Chynna wstchnęła i sprzątnęła talerze ze stołu. Pomyślała, że Kimmie jednak musi jeść i że trzeba będzie coś w tej sprawie zrobić.

- Mamy świetny pomysł. - Joe i Rusty weszli do domu uśmiechnięci. Byli bardzo zadowoleni z siebie.

- Idziemy do wyschniętego koryta rzeki, żeby popatrzeć na zwierzęta - powiedział podekscytowany Rusty. - Joe zawsze tam chodził, kiedy był mały.

- Joe? - zdziwiła się Chynna. Ale Rusty'ego już nie było. Pobiegnął powiedzieć Kimmie o planowanej wycieczce.

- Poprosiłem, żeby mówił do mnie po imieniu - wytłumaczył chłopca Joe.

- A to po co?

- Bo to wspaniały dzieciak. Bardzo go polubiłem.

- Tyle wiem. - Chynna się zdenerwowała. - Oczywiście nie pomyślałeś o tym, że możesz mu złamać serce?

- Złamać mu serce? - zdziwił się Joe. - Co ty wygadujesz, kobieto? Chciałem się z nim zaprzyjaźnić, to wszystko.

- Tak, rozumiem. - Chynna trochę, się uspokoiła. -Wiem, że chciałeś dobrze. W ogóle miły z ciebie facet.

Tak długo była sama ze swymi dziećmi, patrzyła, jak ich najważniejsze potrzeby pozostają nie zaspokojone. Jakże miała to wszystko wytłumaczyć obcemu mężczyźnie?

- Nie rozumiesz, co to znaczy dla Rusty'ego? - zapytała.

Przecież on nie ma ojca, a tak by chciał go mieć.

- Ja tylko poprosiłem, żeby mi mówił po imieniu - powtórzył Joe. Nie miał zamiaru dać się wciągnąć w psychologiczne zawiłości duszy Rusty'ego i jego matki.

- Dobrze. - Chynna próbowała samą siebie uspokoić. -W porządku.
- Czy mimo wszystko możemy iść do tego wodopoju?
- Jasne.
- Świetnie. - Joe szczerze się ucieszył.

Chynna musiała się do niego uśmiechnąć.

- A to przyniosłam z powrotem - powiedziała, wskazując palcem stertę pism pornograficznych. - Ponieważ rzeczywiście nie są twoje, to chyba nie masz także prawa ich wyrzucać. Mogę je zanieść do sypialni?

- A nie możesz ich tu zostawić?

- Nie mogę. Nie chcę, żeby dzieci na to patrzyły.

- Dobrze, daj je. - Joe wziął od Chynny stertę czasopism i wepchnął je do kredensu. - Już ich nie ma.

Niestety, kredens okazał się niezbyt dobrym schowkiem. Zanim Joe skończył zdanie, drzwi kredensu się otworzyły. Czasopisma wypadły i rozsypały się po podłodze.

- Znowu są - mruknęła Chynna, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Usiadła na kanapie i patrzyła, jak Joe zbiera kolorowe pisma.

A więc jednak wprawiały go w zakłopotanie! Chynn timeraz bardziej chciało się śmiać. Podniosła z podłogi jeden numer, na którego okładce jakaś kobieta z piersiami wielkości kul armatnich prezentowała je fotografowi.

- Nie rozumiem, po co mężczyźni oglądają takie rzeczy - powiedziała.

- No i dobrze - mruknął zarumieniony jak panienka Joe. - Jesteś kobietą, więc nie musisz tego rozumieć.

- Ale chciałabym wiedzieć, co wam to daje – mówiła Chynna. - Miło jest przez chwilę popatrzeć na przystojnego faceta, ale nie wyobrażam

sobie, żebym mogła kupować takie grube pismo ze zdjęciami mężczyzn, żeby całymi godzinami się na nich gapie. To strata czasu.

Joe wyjął jej z rąk magazyn i położył go na szczycie sterty, którą zdążył przez ten czas ułożyć.

- Wszystko dlatego - oświadczył tonem mędrca - że mężczyźni są wzrokowcami. Podniecają się, patrząc.

- A kobiety? - zapytała Chynna. Ubawiona przyglądała się, jak Joe upycha pisma w kredensie.

- Nie mam pojęcia.

- Ale ja wiem. Kobiety są rozsądne.

Joe uporał się wreszcie z pisemkami. Zatrzęsął drzwiami kredensu i zamknął je na kluczyk. Wstał i odczekał chwilą, chcąc sprawdzić, czy tym razem nic nie wypadnie. Nie wypadło. Teraz wreszcie mógł spojrzeć na Chynnę.

- Ja tam zupełnie kobiet nie rozumiem - powiedział. - Muszę jednak przyznać, że bardzo mnie pociągają.

Chynna roześmiała się i rzuciła w niego poduszką. Joe schwycił poduszkę i siadł obok Chynny na kanapie. Chciała uciec, lecz ją przytrzymał. Mało brakowało, a byliby się pocałowali, jednak oboje w tej samej chwili się zawahali. Spojrzeli sobie w oczy, a potem powoli, niechętnie, odsunęli się od siebie.

- Zbieraj się - powiedział Joe. - Idziemy do wodopoju.

- Co mam ze sobą zabrać?

- Weź coś do jedzenia. I jakiś żakiet. Zanim wrócimy, może się zrobić zimno.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Mówiłeś, że to wyschnięte koryto rzeki, a przypomina raczej niewielkie jezioro - powiedziała Chynna. Schodzili zboczem wzgórza w piękną zieloną dolinę, na której dnie znajdowało się duże oczko wodne.

- Bo to rzeczywiście jest jezioro - powiedział Joe. - Ale kiedy ja i Greg byliśmy dziećmi, przeczytaliśmy coś o kałużach wody w wyschniętych korytach rzek w Serengeti. Tam był jedyny wodopój w całej okolicy. A ponieważ do naszego jeziora też o zmierzchu przychodzą zwierzęta, żeby się napić, nazwaliśmy je wodopojem w wyschniętym korycie rzeki.

- Z tą różnicą, że tutaj nie ma zmierzchu. - Chynna wymownie spojrzała na niebo.

- Ależ jest. On tylko trwa trochę dłużej. - Joe uśmiechnął się do niej. - Zejdziemy jeszcze trochę niżej. Tam jest naprawdę pięknie.

Zeszli w dolinę. Przez sam jej środek przepływała rzeczka. Wpływała do jeziora, a potem wypływała z niego, tworząc po drodze małe wodospady. Chynna od razu pokochała to miejsce.

- Istny raj - powiedziała zapatrzona w przelatującego jastrzębia.

Postawiła na ziemi koszyk z prowiantem i pomogła Joemu rozłożyć koc. Dzieci szalały. Turlały się po trawie, skakały i piszczały, rozko-

pując leżące w zagłębieniach gruntu resztki śniegu.

- Zobacz, tam się coś rusza. - Rusty pochylił się nad kałużą. Kimmie natychmiast poszła w ślady brata.

- Kijanki - oświecił dzieci Joe. - Już niedługo zmieniają się w żaby.

Jak na zawołanie, z kałuży wyskoczyła horda małych żabek. Dzieci aż piszczały z uciechy. Joe pomógł im złapać' po jednej żabce dla każdego. Pouczył przy tym, jak mają trzymać stworzonka, żeby nie zrobić im krzywdy, a po chwili kazał delikatnie włożyć je z powrotem do wody. Chynna przyglądała mu się z rosnącym podziwem.

- Myślę, że wspaniale było dorastać w tej okolicy - powiedziała.

- Jak sobie teraz o tym myślę, to i mnie się tak wydaje. - Joe usiadł obok niej na kocu. - Na pewno lepsze to niż betonowa pustynia. Ale tu też nie było idealnie.

- Ciekawe, dlaczego.

Joe już miał zamiar zacząć jej tłumaczyć, kiedy zorientował się, po co ona zadaje mu takie dziwne pytania.

- Nic z tego, pani Freud - roześmiał się. - Nie usłyszysz ode mnie żadnych historii z dzieciństwa. Nie dam ci materiału do rozważań na temat, co i w jaki sposób wpłynęło na moją psychikę.

- Powiedz - droczyła się z nim Chynna. - Bądź dobrym kolegą. To świetna zabawa.

- Może dla ciebie. Poza tym to nie ja zamieściłem swoje zdjęcie w katalogu z ofertami matrymonialnymi. Jeśli już mamy poddać któreś z nas psychoanalizie, to raczej ciebie. A właściwie dlaczego to zrobiłaś?



Nie wiem, czy potrafię ci to wytłumaczyć.

- Spróbuj - powiedział Joe, tym razem całkiem poważnie. Chciał wiedzieć, co sprawiło, że ta kobieta uciekła z Chicago. Musiał się tego dowiedzieć.

Chynna przyglądała mu się przez chwilę, jak gdyby próbowała ocenić, czy w ogóle warto mu tłumaczyć coś tak skomplikowanego.

- Czy był w twoim życiu ktoś, kogo kochałeś' bardziej niż samego siebie? - zapytała w końcu. - Czy kiedykolwiek zależało ci na czyimś szczęściu bardziej niż na własnym?

- Jasne - odparł bez namysłu Joe. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nikogo takiego nie może sobie przypomnieć. Już miał powiedzieć, że kimś takim jest jego matka, a jednak nie byłaby to stuprocentowa prawda. Często robił różne rzeczy dla matki, nigdy jednak życie nie postawiło go w sytuacji, w której musiałby wybierać pomiędzy jej szczęściem a swoim. Nigdy nie musiał robić nic takiego, co jego samego naraziłoby na nieprzyjemności czy choćby tylko na niewygody. Tego, o co pytała go Chynna, rzeczywiście nigdy w życiu nie doświadczył.

- Raczej nie - przyznał. - Jeszcze nie.

- Bo nie masz dzieci. Jak będziesz je kiedyś miał, zrozumiesz, co mam na myśli i dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. - Spojrzała na niego tak, jakby coś" rozważała. - Zresztą dobrze. Powiem ci, dlaczego w końcu zdecydowałam się wyjechać z miasta. Rusty ma drobne kłopoty z nauką. Wiedziałam, że w szkole, do której chodzi, nikt mu nie pomoże. Na pewno lepiej poradziłabym sobie, ucząc go w domu, bo mnie zależy na tym, żeby nauczył się jak najwięcej. Zresztą Kimmie też nie najlepiej wiodło się w przedszkolu. A ja przecież

musiałam chodzić do pracy. Ona jest taka nieśmiała, a dzieci jej dokuczały i... Nieważne. W każdym razie źle się tam czuła.

Joe zerknął na bawiącą się w pobliżu dziewczynkę. Była taka krucha, że poczuł głęboką potrzebę chronienia jej przed światem. Jeśli ja, obcy człowiek, czuję coś takiego, to co musi czuć jej matka, pomyślał.

- Miałam wrażenie, że problemy narastają z dnia na dzień - mówiła Chynna. - Nie potrafiłam sobie z nimi poradzić. Mnóstwo czasu spędzałam w pracy i przez cały ten czas zastanawiałam się, co się dzieje z moimi dziećmi. Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby zmienić tę sytuację. Dziecko można wychować tylko raz i dlatego trzeba to zrobić jak najlepiej.

- Jak dotąd, wszystko rozumiem - powiedział Joe. - Teraz przejdźmy do tych spraw, których nie pojmują. Jak to się stało, że zdecydowałaś się na tę randkę w ciemno?

- Nie myślałam o tym w taki sposób. Nie potrzebowałam mężczyzny, lecz dobrej pracy i sposobu na życie. I dlatego właśnie dałam to ogłoszenie. Nie miałam środków, żeby zamieszkać z dziećmi tam, gdzie miałyby kontakt z naturą i żyłyby spokojnie. Musiałam wyjść za mąż za kogoś, kto mieszka w takim właśnie miejscu.

W tej chwili wróciły dzieci. Były głodne jak wilki. Chynna dała im po kanapce i patrzyła, jak jedzą. Rusty, pomiędzy jednym a drugim kęsem, opowiadał o tym, co widział.

Joe spojrział na Kimmie. Uśmiechnął się do niej, ale dziewczynka siedziała naburmuszona.

- Czy ty mnie kiedyś polubisz? - zapytał cicho.

Kimie wzruszyła ramionkami i zajęła się swoją kanapką.

Chynna wszystko obserwowała. Teraz już była pewna, że w odpo-

wiednich okolicznościach ona i Joe mogliby się bardzo do siebie zbliżyć. Nie wiedziała tylko, kiedy taka okoliczność się nadarzy i ile czasu potrzebuje Joe, żeby się do nich przywiązać. A czasu było coraz mniej. Joe w każdej chwili mógł zniknąć z jej życia. Na zawsze.

Co zrobić? Co by tu zrobić? myślała gorączkowo Chynna. Nigdy w życiu nie spotkała mężczyzny, który tak doskonale pasowałby do jej rodziny. Gdyby tylko udało jej się go jakoś zatrzymać...

- Kiedy już będziemy przy wodopoju, musicie się zachowywać cicho - pouczał dzieci Joe. - Zwierzęta nie przyjdą, jeśli was usłyszą.

Złożyli koc, pozbiali naczynia i włożyli je do koszyka, a potem powędrowali nad jezioro. Joe poprowadził ich w zarośla. Usadowili się między krzakami, rozsunęli gałęzie i czekali.

- Nie widzę żadnych zwierząt - oznajmił Rusty scenicznym szeptem mniej więcej po trzydziestu sekundach oczekiwania.

- Musisz cierpliwie poczekać - odszepnął Joe. - Dopiero co przyszliśmy. Narobiliśmy tyle hałasu, co wielka armia na bojowych słoniach. Zwierzęta nas słyszały i teraz trzeba trochę poczekać. Pomyślą, żeśmy sobie poszli, i dopiero wtedy przyjdą do wodopoju.

Czekali jeszcze kilka minut i właśnie wtedy, kiedy dzieci znów zaczęły się wiercić, na drugim brzegu rzeki zauważyli jakiś ruch. Wszyscy czworo zamarli w oczekiwaniu. Trzaskały łamane gałęzie, a po chwili ich oczom ukazała się łania. Stała na skraju lasu i wciągała w nozdrza powietrze. Potem podeszła do jeziora. Dopiero wtedy wyszedł z lasu jelonek i podążył za matką. Gasili pragnienie. Łania co chwilę

podnosiła głowę i uważnie lustrowała dolinę w poszukiwaniu potencjalnych drapieżników.

Chynna i dzieci spoglądali na zwierzęta szeroko otwartymi oczami. Przestali oddychać i nawet Kimmie nie trzymała już palca w buzi. Joe także był przejęty, choć w tej chwili wolał patrzeć na dzieci niż na zwierzęta, które, przecież widział tu już setki razy. Mieszkając w Kalifornii, zdążył zapomnieć o tutejszych cudach. Dopiero teraz jakby się przebudził, jakby na nowo odkrył dzikie piękno Alaski.

Poruszyli się dopiero wtedy, kiedy łania z jelonkiem schowała się z powrotem w lesie. Rusty i Chynna półgłosem wymieniali uwagi. Tylko Kimmie się nie odzywała.

- Podobało ci się, Kimmie? - zapytał Joe, nachylając się nad dziewczynką.

Kimie popatrzyła na niego i z rozmysłem, ostentacyjnie włożyła palec do buzi. Joe roześmiał się głośno. Kimie widocznie postanowiła go ignorować i żadne widowisko nie mogło tego jej postanowienia zmienić. On jednak także się zapał. Także postanowił sobie, że uda mu się jakoś dotrzeć do tego dziwnego dziecka.

Na drugim brzegu jeziora znów rozległ się trzask łamanych gałęzi. Tym razem znacznie głośniejszy. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Joe miał nadzieję, że może uda im się nawet zobaczyć niedźwiedzia. Tymczasem z lasu wyjechał jeździec na koniu. Chynna i dzieci, a nawet Joe, jąknęli, zawiedzeni.

Jeździec poluzował koniowi cugle, żeby zwierzę mogło się napić. Zauważył obserwatorów, bo uchylił kapelusza.

- Dzień dobry - zawołał w stronę krzaków, w których się ukrywali.

Joe wstał i skinął mężczyźnie głową. Chynna i dzieci także wyszli z krzaków. Jeździec był przystojny, ogolony i czysty. Mógł mieć trochę ponad trzydzieści lat. Przyglądał się zgromadzonemu po drugiej stronie jeziora towarzystwu z taką miną, jakby doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

- To ty jesteś tym facetem, który ma na zbyciu kobietę ?

- Nie - odparł bez wahania Joe. - Musiałeś mnie z kimś pomylić.

- Przecież ty jesteś Joe Camden. - Obcy nie dawał za wygraną.

Joe skinął głową.

- No to się nie pomyliłem. - Jeździec zsiadł z konia i podszedł na sam brzeg jeziora. - Jeśli to jest ta kobieta, dla której szukasz męża, to możesz mnie zaraz jej przedstawić.

Joe spojrzał na Chynnę. Była przerażona. Zabawnie, a nawet miło było usłyszeć, że dopytują się o nią różni mężczyźni, gotowi zabrać ją do siebie, gdyby żaden z braci Camdenów się na nią nie zdecydował. Ale znaleźć się w takiej sytuacji osobiście wcale nie było przyjemnie. Mężczyzna był wprawdzie czysty i przystojny, ale Chynna jeszcze nie oszalała i nie zamierzała odchodzić z jakimś obcym. Popatrzyła na Joe'a i gwałtownie kręciła głową. Nie wiedziała jednak, co on robi.

- Spóźniłeś się, koleś - zawołał Joe do nieznajomego. - W końcu jednak się na nią zdecydowałem.

- Wcale się nie dziwię. - Obcy ze zrozumieniem pokiwał głową. - Ale jeśli ona ma jakąś siostrę, to mi ją przyślij, dobrze? Bardzo potrzebuję żony. Za długo byłem sam.

- Są przecież inne kobiety - zauważył Joe.  
- Nie w tej okolicy.  
- Jeśli tak bardzo potrzebujesz żony, to oświadczyć się Nancy. Podobno jest całkiem niezła.

- Nancy? Ta panienka, która obcina ludziom paznokcie? - upewniał się obcy, wskakując na siodło. - Wielkie dzięki. Dałem sobie zrobić pedicure, a ona mało mnie na śmierć nie zagadała. Ta cała Nancy ma ostry język. Człowiek powinien się dobrze zastanowić, zanim pozwoli się osiodłać takiej babie.

- Masz świętą rację, koleś - zgodził się Joe.  
Mężczyzna odjechał. Znów zostali sami.

- On chciał cię tylko obejrzeć - powiedział do Chynny rozbawiony tą przygodą Joe. - Szuka sobie żony i przyszło mu do głowy, że ty możesz mu odpowiadać. Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo cię to przerażyło. Czym to się różni od skorzystania z usług agencji, która kojarzy cię z całkiem obcym facetem?

- W agencji ja także mogłam wybierać - odparła Chynna po chwili namysłu. - To zupełnie zmienia postać' rzeczy.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, rozległ się przeraźliwy krzyk. Dopiero teraz zauważyli, że dzieci gdzieś się zapodziały. Rusty biegł brzegiem jeziora, spory kawałek od miejsca, w którym stali Joe i Chynna.

- Kimmie wpadła do wody! - krzyknęła Chynna i puściła się pędem poprzez zarośla.

Joe także ją zauważył. Główka Kimmie wystawała jeszcze ponad powierzchnię wody, ale prąd już ją porwał i niósł w stronę wodospadu. Joe bez namysłu pobiegł w tym kierunku. Po drodze zrzucił z siebie kurtkę, koszulę i buty. Wskoczył do lodowatej wody i już po chwili był przy dziewczynce.

- Trzymaj mnie mocno, Kimmie - polecił. – Wyciągnę cię z wody, ale musisz się mnie trzymać.

Kimmie przywarła do niego kurczowo. Joe walczył z prądem, coraz bardziej oddalając się od niebezpiecznego wodospadu. Woda była przeraźliwie zimna. Musiał szybko dopłynąć do brzegu. Tymczasem był w nie najlepszej kondycji, a przy tym jedną ręką trzymał Kimmie. Prąd rzeki, temperatura i w ogóle wszystko się przeciwko niemu sprzyściło. Ale nie mógł dopuścić do tego, żeby dziewczynka została okaleczona. Wreszcie mu się udało. Wykończony, wypełznął na piasek.

Chynna i Rusty już byli przy nim. Mówili coś, próbowali obejrzyć Kimmie, sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Ale mała wciąż kurczowo trzymała się szyi Joego. Im mocniej próbowali ją od niego oddzielić, tym bardziej Kimmie się nie poddawała. Dopiero gdy Joe odzyskał siły na tyle, że mógł usiąść, sam delikatnie odsunął od siebie Kimmie.

Wracali do domu biegiem. Chynna zaaplikowała córeczce gorącą kąpiel. Dziewczynka była trochę podrapana i posiniaczona, ale poza tym nic jej się nie stało. Joe także był cały i zdrowy. Jeśli nie liczyć podbitego oka i ponaciąganych mięśni.

Jednak mimo wszystko Kimmie wciąż się do niego nie odzywała i wkładała palec do buzi, gdy tylko Joe był w pobliżu. Doszedł więc do wniosku, że nie ma żadnego sposobu, żeby dotrzeć do tego dziecka.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować - powiedziała Chynna, kiedy wreszcie zostali sami.

- Nie ma za co. - Joe ją do siebie przytulił i prawie natychmiast puścił.

Nie ma takiej rzeczy, jakiej bym nie zrobił dla tej małej panienki, dodał w myślach. I tak właśnie było. Nie mógł znieść widoku tych jej wpatrzonych w niego z niemym przerażeniem oczu. Nie potrafił też znieść jej milczenia. Gdyby tylko znał jakiś sposób na wywołanie uśmiechu tego dziecka, nie wahałby się ani chwili. Nawet gdyby nie wiadomo ile miało go to kosztować.

Chynna porządkowała zabawki dzieci, sprzątała po kolacji, a Joe niespokojnie chodził z kąta w kąt. Wmawiał sobie, że nie może się już doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł stąd wyjechać. Kiedy Chynna z dziećmi opuści ten dom, Greg na pewno się pojawi. Wówczas Joe będzie mógł z nim załatwić to, po co przyjechał. Urodziny matki wypadały za dwa dni, Joe nie miał więc zbyt wiele czasu. Wprawdzie, jak dotąd, nikomu jeszcze nie udało się namówić Grega na wizytę w Anchorage, ale Joe tym razem się zawnął.

Niestety, zanim cokolwiek się zdarzy, musi jeszcze przetrwać jedną noc. Kłął w duchu, bo nijak nie mógł przestać myśleć o Chynnii i o tym, jak by to było, gdyby...

- Jakich ty perfum używasz? - zapytał, kiedy przechodziła obok niego.

- Perfum? - zdziwiła się Chynna. - Nie używam żadnych perfum.

- Bujasz. - Joe nie mógł uwierzyć, że ten kuszący zapach, który ją otaczał, nie pochodzi z żadnej fabryki. - To jakim cudem ten zapach unosi się w powietrzu?

- Czary - uśmiechnęła się do niego.

- Czary - powtórzył do siebie, gdy Chynna wyszła z pokoju. Tak, to na pewno czary, pomyślał. W przeciwnym wypadku nie zachowywał-



bym się tak idiotycznie. Muszę wrócić do Los Angeles, do normalnego życia. Mam tam pracę, przyjaciół. ..

Nie miał żadnej dziewczyny, ale tylko dlatego, że zużyło go spotkanie się z głupiutkimi panienkami marzącymi o karierze gwiazd filmowych lub z łaknącymi sukcesu prawniczkami. Joe miał wrażenie, że każda kobieta, jaką spotkał, należała albo do jednej, albo do drugiej grupy.

Przydałaby się wreszcie jakaś rozumna babka z klasą, westchnął w duchu. A przy tym miła, opiekuńcza i niebrzydka. Taka jak. .. O nie, zrelektował się Joe. Nie wolno mi o tym nawet myśleć. Chynna to wspaniała kobieta, ale ma dzieci. No i przyjechała do Grega. Wprawdzie nie zamierzam dopuścić do tego małżeństwa, ale jakieś zasady w końcu obowiązują.

Wstał i wyszedł z domu. Chynna także była na podwórku. Oparta o płot, przyglądała się górom.

- Są piękne - powiedział Joe, stając za jej plecami. - I śmiertelnie niebezpieczne. Co roku giną tam ludzie.

- Rozumiem, że nie jesteś jednym z tych, którzy uważają, że za możliwość podziwiania piękna warto zginąć?

- Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwe piękno, powinnaś pojechać na plażę do Malibu - roześmiał się Joe.

- Mnóstwo bardzo skąpych kostiumów kąpielowych? - domyśliła się Chynna.

- Nie o to mi chodzi. - Joe machnął ręką. - Gdybyś zobaczyła odbijające się w morzu słońce, majaczącą na horyzoncie Katalinę...

Joe stanął tak blisko niej, że prawie dotykali się ramionami. Przed nimi wznosiły się majestatyczne góry, których widok w każdym musiał budzić szacunek.

- Człowiek czuje się przy nich mały jak ziarnko piasku - powiedziała Chynna po długiej chwili milczenia,

Trafiła w samo sedno. Właśnie dlatego Joe tak bardzo chciał uciec z Alaski. Musiał znaleźć sobie miejsce, w którym krajobraz nie przytłaczał człowieka, nie robił z niego karzełka, gdzie można się było czuć panem świata. Wybrał Kalifornię, która także nie była pod tym względem doskonała. Tam jednak wszystko było dla niego nowe, a przede wszystkim nie rzucało się w oczy tak bardzo, jak góry na Alasce. Kalifornia okazała się dobrym miejscem do życia. Joe miał ciekawą pracę i dużo zarabiał. Mieszkał w pięknej dzielnicy, gdzie było wszystko, czego człowiekowi trzeba, by mógł żyć wygodnie. Nie potrafił więc zrozumieć, dlaczego nagle zaczęło go to irytować.

- Powiedz mi - zaczęła Chynna - jak to się stało, że żadna panna dotąd cię nie usidliła.

- Mieszkam w Los Angeles, zapomniałaś? W tym mieście małżeństwa nie są w dobrym tonie.

- Zawsze możesz się stamtąd wyprowadzić - mruknęła Chynna, patrząc na płynące po niebie białe chmury.

- To nie miałoby sensu. - Joe spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu z tego żaloszny grymas. - Nie chcę się żenić, a tam przynajmniej jestem bezpieczny.

- Zupełnie o tym nie pomyślałam, a to przecież oczywiste. - Chynna odwróciła się do niego, ukazując promiennie uśmiechniętą twarz. - Wybrałeś sobie idealne miejsce. Przypuszczam, że jesteś bardzo szczęśliwy.

- Jasne, że jestem szczęśliwy - powiedział Joe. Zabrzmiało to tak, jakby bronił się przed jakimś zarzutem, choć wcale nie miał takiej intencji.

- Nie musisz zaraz na mnie krzyczeć. - Chynna uśmiechała się do-  
myślnie, jakby doskonale wiedziała, że trafiła w czuły punkt Joego. i  
bardzo była z siebie zadowolona.

- Wcale nie krzyczę.

- Przepraszam. Wydawało mi się. - Była uszczęśliwiona, jakby udało  
jej się wygrać zacięty pojedynek. - Widać oślepiło mnie to szczęście,  
które z ciebie emanuje.

Joe był bezradny. Nie wiedział, dlaczego tak trudno mu się z tą ko-  
bietą porozumieć. Nie rozumiał także, czemu tak bardzo przejmuje się  
tym, że ona kpi sobie z niego.

- Żyję tak, jak mi się podoba - powiedział.

- Naprawdę nigdy nie myślałeś o założeniu rodziny? -Chynna nie  
zamierzała ustąpić. Roześmiała się głośno na widok jego przerażonej  
miny. - Nie bój się. Na nic cię nie namawiam. Ja się tylko o ciebie  
martwię.

- O mnie? - zdumiał się Joe. - Jesteśmy obcymi ludźmi. Dlaczego  
miałoby cię obchodzić to, co się ze mną stanie?

- Mam wrodzoną potrzebę opiekowania się innymi - powiedziała cicho.  
Zastanawiała się, czy to możliwe, żeby aż tak bardzo się pomyliła. Joe  
najwyraźniej nie czuł tworzącej się między nimi więzi, jaką odczuwała  
Chynna. Postanowił, że się nie zakocha, i miał zamiar wytrwać w tym  
postanowieniu, ona zaś nie miała dość czasu, żeby to jego postano-  
wienie zmienić.

- A gdzie jest ojciec twoich dzieci? - zapytał Joe, wyrywając ją z  
zamyślenia. - Byliście małżeństwem?

Chynna odruchowo spojrzała na swoje dłonie. Dopiero teraz przy-  
pomniała sobie, że jeszcze w Chicago zdjęła obrączkę. Nie wypadało  
obnosić się z obrączką pierwszego męża, skoro miało się zamiar poślubić  
następnego mężczyznę.

- Owszem, byliśmy małżeństwem - powiedziała. - Chodziliśmy ze sobą już w podstawówce i pobraliśmy się zaraz po maturze.

- Niezły wynik - mruknął Joe. Poczł ukłucie zazdrości. Nie pojmował, skąd się ono wzięło.

- No właśnie - potwierdziła Chynna. - Potem urodziły się dzieci i byliśmy bardzo szczęśliwi.

- Ale teraz jesteście rozwiedzeni.

- Kevin nie żyje.

- Co się stało?

- Zginął w wypadku samochodowym. Pił.

Joe od razu przypomniał sobie wyraz twarzy Chynny, kiedy zobaczyła przy jego łóżku pustą butelkę. Nagle poczuł wściekłość na tego nie znanego sobie, a tak przez nią kochanego Kevina. Jak on śmiał ryzykować życie i zostawić taką kobietę jak Chynna samą! I dzieci. A wszystko z powodu alkoholu.

Chciał ją jakoś pocieszyć, ale Chynna całą swoją postawą dała mu do zrozumienia, że żadnego pocieszania sobie nie życzy.

Doskonale ją rozumiał. Nie musiała niczego tłumaczyć. Nie pamiętał już, kiedy jakaś kobieta tak bardzo go ekscytowała. Było to chyba w ósmej klasie. Po szkolnej zabawie odprowadzał Elinor Bingley do domu. Przez całą drogę wyobrażał sobie, jak ją pocałuje na dobranoc. Z wrażenia pociły mu się dłonie. Miał zamiar zrobić to w opuszczonej cegielni, gdzie tak wspaniale rozmawia się z echem, ale Elinor uczyła go gwizdać na palcach i Joe zapomniał o swoich planach. Wymyślił więc sobie, że robi to przy wielkiej kałuży na rogu ulicy, pod pretekstem przytrzymania Elinor przed wpadnięciem w błoto. Ale ona go

wyprzedziła i przeskoczyła przez kałużę. Miał potem jeszcze kilka dobrych pomysłów, jednak żaden z nich, z tej lub owej przyczyny, nie doczekał się realizacji. Już prawie zrezygnował. Stali przed drzwiami jej domu i słyszeli ciężkie kroki ojca Elinor, idącego otworzyć drzwi. Wtedy to Elinor uśmiechnęła się do niego zawadiacko, stanęła na palcach, przyłożyła wargi do ust Joego i przytrzymała je tam przez chwilę. Potem w milczeniu zniknęła w drzwiach domu. Joe stał na ganku i nie posiadał się ze szczęścia. „Udało mi się”, mruzczał uszczęśliwiony.

- Już wtedy się oszukiwałem - powiedział do siebie, bo właśnie zdał sobie sprawę, że to Elinor jego pocałowała, a nie on ją.

- Słucham? - Chynna na szczęście nie dosłyszała tego, co i tak nie było przeznaczone dla jej uszu.

Joe patrzył na nią w milczeniu. Na jej rumiane policzki, na długie rzęsy i oczy, lśniące jak wiosenny śnieg na tafli jeziora.

- Muszę cię jeszcze raz pocałować - powiedział, pochylając się nad nią.

- Po co? - zapytała pełna nadziei Chynna.

- Głównie po to, żebym wreszcie przestał o tym myśleć - przyznał Joe. - Żeby mi się już więcej nie chciało.

- Naprawdę myślisz, że to pomoże?

- Nie. Ale nic innego mi do głowy nie przychodzi.

- Dobrze. - Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła. - Wobec tego spróbujmy.

Spróbowali. Joe chciał, aby był to mocny, krótki pocałunek, który go przekona, że Chynna niczym się nie różni od znanych mu kobiet, że wymyślił sobie tamto wrażenie, które zostało mu po poprzednich po-

całunkach, że wszystko to sobie tylko wyobraził. Ale i tym razem mu się nie udało. Wciąż znajdował się pod wpływem jej uroku. Jak zaplątana w pajęczynę mucha, im bardziej się szarpał, tym mocniej był uwięziony.

Bardzo jej pragnął. A chociaż nie po raz pierwszy pożądał kobiety, to uczucie to nigdy nie było tak silne jak w tej chwili. Pragnął nie tylko jej ciała, ale i duszy. Chciał ją mieć na własność. Całą. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Chynna nie należała i nie mogła należeć do niego. Miała zostać żoną jego brata. Była poza jego zasięgiem, a jednak znowu ją całował.

Powoli, bardzo powoli ją od siebie uwalniał. Tak trudno było się od niej oddalić, pozostawić ją samą. Patrzyła na niego bez emocji, jakby to, co się przed chwilą stało, nie zrobiło na niej większego wrażenia.

- No i jak? - zapytała.

- Co? - zapytał nieprzytomnie.

- Jak się udała kuracja pocałunkowa? - Musnęła dłonią jego policzek, wprawiając Joego w jeszcze większe zakłopotanie. - Uodporniłeś się już na moje czary?

Spoglądał na nią zdziwiony. Zaklął szpetnie, kiedy przypomniał sobie, o co jej może chodzić.

- Nie wolno nam tego powtarzać - powiedział ponuro. - Musimy zapomnieć, że to się w ogóle wydarzyło.

- Zapomnieć, że co się wydarzyło? - zapytała z niewinną miną.

- No, ten pocałunek - zaczął Joe, ale zorientował się, że Chynna sobie z niego zakpiła.

Miała zamiar kontynuować tę zabawę, lecz szybko zrobiło się jej go

zał. Przecież tak bardzo starał się być uczciwy wobec niej i wobec swego brata. Ona i Joe widocznie nie byli sobie przeznaczeni. Powtarzał jej to tyle razy, że powinna była wreszcie przyjąć to do wiadomości. Bez ogródek oświadczył jej, że nie ma zamiaru się żenić, a dla niej z kolei związek pozamałżeński, choćby nawet z tak atrakcyjnym mężczyzną jak Joe Camden, nie wchodził w grę. Miała dwoje dzieci i o nich przede wszystkim musiała myśleć. Skoro więc nie mogli być małżeństwem, może rzeczywiście lepiej trzymać się od siebie z daleka i już zacząć zapominać, że tak bardzo się sobie spodobali.

Odwróciła się na pięcie i chciała odejść, wrócić do domu, zamknąć się w pokoju, gdzie czułaby się bezpieczna, ale Joe położył jej dłoń na ramieniu.

- Zapomniałem ci powiedzieć. Załatwiłem wam samochód do Anchorage. Jutro wyjeżdżacie.

A więc jednak odważył się to powiedzieć. Odważył się także na nią spojrzeć. Jednak, ku jego wielkiemu zdziwieniu, Chynna nie wyglądała na zmartwioną.

- Odwołaj ten kurs - powiedziała spokojnie, lecz stanowczo. - Nigdzie nie pojedziemy.

- Słucham? - Joe przez chwilę myślał, że się przesłyszał.

- Powiedziałam, że nigdzie nie jedziemy. Ale nie martw się - dodała na wypadek, gdyby obawiał się, że jeszcze czegoś od niego będzie chciała. - Tę noc jeszcze tu prześpimy, a jutro podziękujemy ci za gościnę.

- Dokąd pójdziecie? - Joe miał taką minę, jakby mu zaproponowała randkę z kosmitką. - Co ty znowu kombinujesz?

- Nic takiego. Mam trochę oszczędności i Annie obiecała mi pomóc.

Jest tu do wynajęcia domek ze sklepem od frontu i częścią mieszkalną na zapleczu.

Joe patrzył na Chynnę oniemiały. Wciąż jeszcze nie rozumiał, o czym ona mówi.

- Mam zamiar otworzyć tu jakiś niewielki interes - wyjaśniła Chynna.

- Interes? W Dunmovin? Kpisz, czy o drogą pytasz?

- Kawiarnię - powiedziała.

- Kawiarnię? - powtórzył Joe po długiej chwili, podczas której widocznie rozważał to, co od niej usłyszał i co ani rusz nie mogło mu się pomieścić w głowie. - No tak, teraz już wiem wszystko.

- A dlaczego by nie? - zapytała, marszcząc brwi.

- Kawiarnię! - chichotał Joe. - Ci ludzie nie pijają ani kawy, ani niczego w tym rodzaju. Piją piwo. Mocne piwo.

- Zapomniałeś, że zbliża się dwudziesty pierwszy wiek - powiedziała Chynna, dumnie unosząc do góry głowę. - Czasy, mimo wszystko, jednak się zmieniają. Poza tym nie zamierzam podawać tylko kawy. Będę robić paczki śniadaniowe dla mężczyzn, którzy wybierają się na ryby, na polowanie czy do pracy przy gazociągu.

- Może jestem tępy, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić tych kudłatych facetów, którzy wpadają do kawiarni na kawę i kupują kanapkę ze szprotami i awokado, żeby mieć co przegryźć, gdy zgłodnieją w górach. - Potrząsnął głową. - Spędziłem tu prawie całe życie i znam tych ludzi, Chynno. Nie zachowują się tak jak mężczyźni z miasta. Przede wszystkim dlatego, że nienawidzą zdobyczy cywilizacji. Kochają dziką przyrodę i zachowują się jak dzikusy. Nawet ty ich nie zmienisz.



- To się jeszcze okaże. - Chynna uwolniła się z jego uścisku i nie oglądając się za siebie, pomaszrowała do domu.

- Skończysz jak wszyscy - ostrzegł ją Joe. - Ze złamanym sercem.

- Może. - Zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię. - Ale może się zdarzyć, że rozkręcę biznes, który pozwoli mnie i moim dzieciom utrzymać się i żyć w tej pięknej, czystej krainie. I może uda mi się tego dopiąć, bez konieczności sprzedawania się obcemu mężczyźnie.

To mu zamknęło usta. Patrzył w ślad za odchodzącą Chynną i myślał, że skoro ta kobieta ma taki hart ducha, skoro tak się zawzięła, to może rzeczywiście uda jej się zrealizować to, co sobie zamyśliła.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy się obudziła, było ciemno. Przez chwilę zdawało się jej, że znów jest w swoim mieszkaniu w Chicago. Po chwili przypomniała sobie, że to Alaska. Łóżko od razu wydało jej się bardziej miękkie, powietrze lżejsze, a cykanie świerszczy obudziło dobre myśli. Zdążyła już pokochać to miejsce i nie miała zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

Ale coś ją jednak obudziło. Co to było? Może któreś z dzieci ją wołało? Przez chwilę leżała bez ruchu, nasłuchując. W domu panowała cisza. A jednak czuła, że coś nie jest w porządku.

Wstała i na palcach poszła do sypialni dzieci. Rusty spał jak aniołek, ale Kimmie w łóżku nie było.

- Kimmie? - wyszeptała Chynna. - Gdzie jesteś, skarbie?

Przeszukała korytarz i zeszła na dół. Zapaliła światło. Kimmie nie było ani w kuchni, ani w pokoju. Chynna się przestraszyła. Chodziła po całym domu, zapaliła wszystkie światła, nie mogła odnaleźć córki.

- Kimmie? - zawołała Chynna, tym razem głośno. Przypomniało jej się wycie wilków w pobliżu domu, ale zaraz tę myśl odsunęła od siebie. Przecież Kimmie nie wyszłaby sama na dwór. O tej porze? A może jednak? A jeśli, zdezorientowana, szukała mamy i się zgubiła?

Jeśli wyszła na dwór i teraz chodzi sama po lesie?

Wreszcie zostało już tylko jedno pomieszczenie, do którego Chynna dotąd nie zajrzała. Pobiegnęła na piętro. Drzwi do pokoju Joego były uchylone. Padające z korytarza światło oświetlało pokój na tyle dobrze, że od razu ujrzała córeczkę. Kimmie spała na leżącym koło łóżka dywaniku. Jak zwykle, z nieodłącznym paluszkiem w buzi.

Chynna odetchnęła. Łzy popłynęły jej z oczu. Była taka szczęśliwa, że dziecku nic się nie stało. Patrzyła przez chwilę na swą małą córeczkę zwiniętą w kłębek obok łóżka śpiącego Joego. Bliżej Kimmie nie miała odwagi podejść.

Chynna miała wielką ochotę obudzić Joego i pokazać mu, co dziewczynka wymyśliła. Zawahała się. Pomyślała, że może będzie na nią zły i że pewnie w ogóle niewiele go to obejdzie. A jednak sytuacja była tak wyjątkowa, że Chynna musiała z kimś o niej porozmawiać. Tak długo była sama. Tak długo nie miała komu opowiadać o wyczynach swoich wspaniałych dzieci. Tak bardzo pragnęła czyjejś bliskości. Choćby tylko na tę jedną noc.

- Joe. - Chynna dotknęła jego ramienia.

Przewrócił się na plecy i szeroko otworzył oczy.

- Chynna? - Przez chwilę wydawało mu się, że śni. Pochyliła się nad nim. Jedwabiste włosy tej kobiety łaskotały mu policzki, jej zapach wypełniał pokój. A więc chyba naprawdę przyszła. Wyciągnął do niej rękę, chciał ją do siebie przytulić, ale ona, śmiejąc się cichutko, odsunęła się od niego.

- Nie przyszłam tu po to, żeby cię uwieść - szepnęła. - Chciałam ci tylko coś pokazać.

Zaspany, wygramolił się z łóżka, ale kiedy zobaczył skuloną na podłodze Kimmie, natychmiast się całkiem rozbudził.

- Kimmie? - wyszeptał. - Skąd ona się tu wzięła?

- Zniknęła gdzieś w nocy. Obszukałam cały dom i w końcu ją znalazłam.

- Dlaczego tu przyszła? - dziwił się Joe. - Przecież ona mnie nienawidzi.

- Ona cię uwielbia, głuptasie. Tylko boi się to okazać.

Nigdy nie zrozumie kobiet, pomyślał zrezygnowany Joe. Niezależnie od tego, ile mają lat. Ale skoro Chynna twierdzi, że ta mała mnie lubi, to widocznie tak jest. Schylił się i ostrożnie wziął Kimmie na ręce.

- Położę cię do łóżeczka, maleńka - szepnął jej do ucha.

Kimmie rozbudziła się. Spojrzała nieprzytomnie na Joego, a kiedy go rozpoznała, zarzuciła mu rączki na szyję. Przytulona do jego piersi, bezpieczna i najwyraźniej szczęśliwa, znów spokojnie zasnęła.

Chynna widziała, jak bardzo Joe się wzruszył. Obserwowała go, gdy trzymał w ramionach jej córeczką, i nagle zrozumiała, jakby ktoś jej to głośno i wyraźnie powiedział, że to jest właśnie ten mężczyzna, którego pragnęła. Co więcej, ona się w nim zakochała. Zakochała się po uszy. Tak samo jak kiedyś w Kevinie. Cóż, kiedy mogła jedynie patrzeć, zaciskać pięści i udawać, że nie czuje bólu, który niebawem przenikać zacznie jej serce.

Joe ułożył Kimmie w łóżku. Wyglądała jak aniołek. Patrzył na nią z czułością. Nagle poczuł, że musi natychmiast wyjść z tego pokoju, uciec od tych dzieci, bo jeśli tego nie zrobi... Jeśli tego nie zrobi, jeśli nie będzie ostrożny...

Nawet w myślach nie chciał tego nazwać po imieniu, choć doskonale

wiedział, co to takiego i wiedział także, jak tego uniknąć. Przede wszystkim znaleźć się jak najdalej od tych dzieci, od ich matki, wrócić do Los Angeles i żyć normalnie, tak jak przedtem. Nic więcej.

To naprawdę nie było trudne. Wystarczyło tylko przejść obok Chynny, wyjść na korytarz, położyć się do łóżka i zasnąć. A rano wszystko samo się ułoży dokładnie tak, jak powinno. Więc w czym problem?

Zamykając drzwi pokoju, w którym spały dzieci, wiedział już, na czym ten problem polega: na drodze do jego pokoju stała Chynna. Miała rozpuszczone włosy, miękki szlafrok podkreślał jej pełne kształty... Joe odetchnął głęboko i postanowił, mimo wszystko, oprzeć się pokusie.

- Trzeba wracać do łóżka - powiedział. - Jutro musimy porozmawiać o waszej przyszłości.

- Nie ma o czym rozmawiać. Zamieszkamy w tym domu, o którym mówiła Annie. Naprawdę nie musisz się o nas martwić.

Joe wiedział, że powinien milczeć i wrócić do swego pokoju, bo nie ma sensu z nią dyskutować. Podjęcie rozmowy mogło się okazać niebezpieczne, a jednak musiał powiedzieć to, co miał do powiedzenia.

- Nie możesz zostać w Dunmovin. To szaleństwo. Nic ci się tu nie uda.

- A co cię to obchodzi? - zapytała Chynna. - Jeśli nie poradzimy sobie, to wyjedziemy. To nasza sprawa, a nie twoja.

W głowie mu szumiało. Chynna była tak blisko... Jej zapach, jej pełne ciało...

- Pojedziesz ze mną do Los Angeles? - zapytał wbrew własnym

chęciom. - Ostatnio łatwiej tam o pracę i w ogóle...

Co ja wygaduję? pomyślał przerażony. Chyba zwariowałem. - Mógłbym ci pomóc w znalezieniu jakiegoś mieszkania - mówił mimo wszystko. - Poszukamy dobrego przedszkola dla Kimmie...

- Nie - ucięła Chynna. Nie połknęła przynęty. O co innego jej chodziło i zamierzała dopiąć swego. - W Los Angeles zacznę się borykać z tymi samymi problemami co w Chicago. Prędzej czy później. Alaska jest dla nas idealnym miejscem do życia.

Stała tak blisko Joego, a on był prawie nagi. Jeśli, oczywiście, nie liczyć obszernych spodni od piżamy, które musiał co chwila podciągać. Niemal czuł jej oddech na swojej skórze i to go doprowadzało do szału.

- Dlaczego tak się upierasz, żeby tu zostać? - spytał, byleby tylko coś mówić, byleby Chynna nie zauważyła, co się z nim dzieje. - Masz nadzieję, że Greg jednak zechce się z tobą ożenić?

- Greg jasno dał mi do zrozumienia, że małżeństwo ze mną go nie interesuje - powiedziała cicho Chynna. - To chyba już uzgodniliśmy.

Joe nawet nie słyszał, co ona do niego mówi. Stał jak wrośnięty w ziemię, jakby te jej piękne oczy go zahipnotyzowały. Była śliczna. I to wcale nieprawda, że Joe nie był wrażliwy na piękno. W tej chwili był nim zauroczony. Oddałby wszystko, żeby tylko zdobyć tę kobietę.

Tymczasem Chynna podeszła do niego i położyła mu dłoń na sercu, jakby chciała wyczuć jego rytm. Joe westchnął i przykrył jej dłoń swoją ręką.

- Odejdź stąd, Chynno - poprosił. - Odejdź, bo nie ręczę za siebie...
- Musiałbyś to uzasadnić - wyszeptwała. - Jeśli jest jakiś powód, że-  
bym stąd odeszła, to zaraz wrócę do łóżka. Ale jeśli nie ma...
- Przyjechałaś tu, żeby zostać żoną mojego brata. - Joe chwycił ją za  
rękę. - Czy to nie jest wystarczający powód?
- Nie znam twojego brata - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. -  
Za to znam ciebie.

Nie miało znaczenia to, co do niego mówiła. Ważny był jedynie fakt, że nie odeszła. Oboje wiedzieli, do czego ich to wszystko doprowadzi, i oboje już się z tym pogodzili.

Chynna stanęła na palcach, zarzuciła Joemu ręce na szyję i delikatnie pocałowała go w usta. Ręce Joego same się wokół niej owinęły. Zamknął oczy. Słowa przestały być potrzebne.

Zaprowadził ją do łóżka. Do tego samego łóżka, w którym spał przez całą swoją młodość, w którym marzył o dziewczętach i o ucieczce z Alaski.

Chynna była bardzo piękna. Joe pozwolił sobie patrzeć na jej długie nogi, pełne piersi... Dawno już żadnej kobiety nie pragnął tak bardzo. Nie pamiętał, kiedy seks był dla niego czymś więcej niż tylko zbliżeniem ciał. Lecz ta kobieta była inna niż wszystkie, toteż to, co jej dotyczyło, także musiało być zupełnie wyjątkowe. I ta niezwykła kobieta wreszcie należała do niego. Przynajmniej w tej chwili.

Chynna lubiła seks, ale nigdy nie był jej niezbędny do życia. Po tej nocy także nie spodziewała się niczego szczególnego. A jednak... Patrzyła na Joego, na jego rosnące podniecenie i nagle poczuła, że cała płonie. Potrzebowała tego mężczyzny jak powietrza, chciała, żeby na-

leżał tylko do niej, teraz i zawsze... Choćby to zawsze miało trwać tylko jedną noc, i tak byłoby warto...

Kocham cię! krzyczało jej ciało, obudzone do życia dotknięciem Joego. Kocham cię! Kocham! Kocham!

I była to szczerą prawdą. Kochała go bardziej niż Kevina, choć swojego męża kochała całym sercem.

- To szaleństwo - wyszeptał Joe, pochylając się nad nią. - Wiesz, że niczego nie mogę ci obiecać. Zrozum mnie, proszę.

- Cii - położyła mu palec na ustach. - Nic nie mów. Jeśli możesz podarować mi tylko tę jedną noc, to chcę ją jak najpełniej wykorzystać. Rozmowy odłożymy na jutro.

- Czarownica - uśmiechnął się Joe. - Kiedy cię poznałem, nie byłaś taka śmiała.

- Bo jestem nieśmiała - przyznała Chynna. - Nigdy nie kochałam się z innym mężczyzną niż Kevin, a on był moim mężem. Strasznie się boję. Nie zauważyłeś tego?

- Ty się niczego nie boisz - roześmiał się Joe i przyciągnął ją do siebie.

Chynna obudziła się we własnym łóżku. Czowała się wspaniale, choć z początku nie bardzo mogła sobie przypomnieć, co ją tak odmieniło. Uśmiechnęła się, kiedy sobie przypominała wszystko, co się zdarzyło. Była bardzo szczęśliwa. Joe okazał się wspaniałym kochankiem. Spędzili ze sobą cudowną noc, którą będzie można wspominać do końca życia.

- Dzień dobry - usłyszała męski głos. Ale to nie był Joe,

- Ty pewnie jesteś Chynna Sinclair.



Chynna podciągnęła kołdrę pod brodę i zwróciła głowę w stronę, z której dobiegał głos. W drugim końcu pokoju, na fotelu, siedział zarosnięty mężczyzna. Był wysoki, szczupły i miał żywe, niebieskie oczy. Więcej spod zarostu nie było widać. Był podobny do Joego, tylko trochę młodszy i znacznie bardziej zaniedbany.

- A ty pewnie jesteś Greg - powiedziała łamiącym się głosem.

- Zgadza się. - Greg skinął głową. Wydawał się miły, ale jakby trochę wystraszony. - Przepraszam, że mnie nie zastałaś. Dobrze, że zostawiłem otwarte drzwi.

- Pewnie.

Greg rozejrzał się po pokoju, jakby w poszukiwaniu nowego tematu do rozmowy.

- Co to za dzieci? - przypomniał sobie wreszcie.

Zabawne, pomyślała Chynna. Teraz tak łatwo mi opowiadać o dzieciach temu mężczyźnie, którego mam poślubić.

- To moje dzieci - powiedziała.

- Fajnie - uśmiechnął się Greg. Widocznie gotów był przyjąć wszystkie jej warunki. - Zawsze chciałem mieć dzieci, a teraz mogę je mieć bez tych wszystkich kłopotów. To tak jakby się dostało psa, którego ktoś już wytresował.

- Tak jakby - powtórzyła Chynna, nie całkiem przytomnie. Pojawienie się Grega tak bardzo ją zaskoczyło, że wciąż jeszcze nie bardzo wiedziała, jak się zachować i co powiedzieć.

- Fajnie będzie mieć dzieci. - Greg coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu. - Nauczę je jeździć konno, łowić ryby, polować... Fajnie będzie, zobaczysz. A ty będziesz nam gotować.

Chynna słuchała i zastanawiała się, ile on właściwie ma lat. W liście napisał, że trzydzieści, ale sprawiał wrażenie osiemnastolatka, który jeszcze nie bardzo wie, jak sobie radzić w życiu.

- Jesteś pewien, że potrzebna ci żona? - zapytała niezbyt uprzejmym tonem. - Mam wrażenie, że wolałbyś raczej mieć matkę i młodsze rodzeństwo.

- Co ty? - obruszył się Greg. - Ja mam matkę. Mieszka w Anchorage. Chciałem mieć żonę, bo... No wiesz... Tu nie ma wielu kobiet. Tylko Nancy, ale ona mi dała kosza.

- Rozumiem. - Chynna pokiwała głową.

Pomyślała sobie, że kobieta, która chciałaby wyjść za mąż za takiego człowieka, musiałaby być niespełna rozumu i że przecież ona sama jeszcze niedawno to właśnie zamierzała zrobić. Chociaż z drugiej strony... Greg był dość sympatyczny i może nie należało z góry źle go osądzać. Może warto mu dać szansę.

Już miała go poprosić, żeby wyszedł i pozwolił jej się ubrać, kiedy w drzwiach stanął Joe. Miał na sobie tylko dżinsy. Uśmiechał się do niej i już chciał coś powiedzieć, kiedy zauważył brata.

- Cześć - ucieszył się Greg. - Widzisz, w końcu jednak wróciłem.

Joe spojrzał na brata, potem na Chynnę. Bez słowa odwrócił się i wyszedł.

- To mój starszy brat. - Greg ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi. - Wspaniały facet. Pod warunkiem, że ma akurat dobry humor. Niestety, nie pamiętam, kiedy ostatni raz nie był wkurzony. Od moich urodzin nie zdarzyło się to ani razu.

Chynna się roześmiała. Greg był taki zabawny. On i Joe bardzo się od siebie różnili, ale już na pierwszy rzut oka można było rozpoznać, że są braćmi.

- On musi się rano napić kawy, zanim się w ogóle do kogoś odezwie - powiedziała. - Może pozwolisz mi się ubrać. Potem wszyscy troje spokojnie sobie porozmawiamy.

- Jasne. Czemu nie? - Greg natychmiast wstał i wyszedł.

- Rany boskie! - mruknęła Chynna. - I co teraz będzie?

Joe prawie się nie odzywał. Zresztą, prawdę mówiąc, niewiele było do powiedzenia. To znaczy, miał do powiedzenia mnóstwo, nawet trudno mu było utrzymać w ryzach kotłujące się w głębi duszy uczucia, jednak wiedział z doświadczenia, że mówienie takich rzeczy może tylko pogorszyć sytuację. Już nieraz tego doświadczył.

Ciekaw jestem, co ty sobie w ogóle wyobrażasz, miał ochotę powiedzieć bratu. Twoja matka siedzi sama jak palec, a ty co? Nawet raz nie możesz jej odwiedzić? Jutro są jej urodziny. Wiem doskonale, że ciebie to nic a nic nie obchodzi. Chciałem cię zmusić, żebyś do niej pojechał. Przyjeżdżam i spotykam kobietę, której obiecałeś małżeństwo. Ale ciebie, oczywiście, nie ma. Zostawiłeś ją na lodzie, tak samo zresztą jak wszystkich i wszystko. Co z ciebie za człowiek? Żebyś ty chociaż raz w życiu potrafił dotrzymać danego słowa! Co ty wyprawiasz, człowieku?

Przez wiele lat przemawiał do Grega w podobny sposób, ale nigdy niczego nie zwojował. Zresztą, w głębi duszy doskonale wiedział, dlaczego Greg taki jest i dlaczego nigdy się nie zmieni. Greg był taki sam jak ojciec.

Joe wiedział, że przede wszystkim musi zachować spokój.

Nalał sobie wody do szklanki i pił powoli, licząc przy tym do dziesięciu. Wykrzykiwanie Gregowi w twarz wszystkich tych prawd nie miało najmniejszego sensu. Tej mądrości nauczył się Joe po wielu latach obcowania z młodszym bratem. Wciąż jednak zastanawiał się, jak by tu dotrzeć do tego człowieka, w jaki sposób sprawić, żeby Greg zauważył, że oprócz niego na świecie istnieją także inni ludzie, i żeby się wreszcie zmienił.

Usłyszał, jak Greg wchodzi do sieni. Zanim pojawił się w kuchni, Joe już trochę się uspokoił. W żadnym wypadku jednak nie był przygotowany na to, co brat miał mu do powiedzenia.

- Jak myślisz? Czy Annie może nam udzielić ślubu? -zapytał Greg z miną człowieka szczęśliwego. - Ona jest naszym nieoficjalnym burmistrzem. Gdybyśmy tu wybierali burmistrza, to pewnie i tak ona by nim została. No to chyba może żenić ludzi? Na okręcie ślubu udziela kapitan, nie?

- A z kimże ty się chcesz żenić, człowieku? - Joe spojrzał na brata zaskoczony.

- Jak to z kim? Z Chynną - odrzekł radośnie Greg.  
Joe zaniemówił.

- Ty chcesz się z nią ożenić? - zapytał, gdy wreszcie odzyskał głos.

- Jasne. Przecież gdybym jej nie chciał, nie posyłałbym jej pieniędzy na podróż.

- To dlaczego nie było cię w domu, kiedy przyjechała?

- To wszystko przez Jima Barleya. - Greg zrobił minę, jak dziecko, które zapomniało wyrzucić śmieci. - Specjalnie przyjechał, aby mi powiedzieć, że kręci się tu niedźwiedź wielki jak stodoła. Musiałem się rozejrzeć. U nas od dawna nie było niedźwiedzi. Musiałem się zo-

rientować, skąd ten bydlak się wziął i czy chce tu zostać.

Greg spostrzegł, że jego wyjaśnienia nie satysfakcjonują brata. Od-  
ruchowo zaczął się bronić.

- Nie było mnie tylko kilka dni. Uważasz, że to zbyt długo? Przecież  
wiesz, jakie zwykle robię wyprawy. Zresztą wróciłem w porę... - Za-  
stanawiał się chwilę, jakby szukał w myślach słowa. Rzeczywiście  
szukał. Takiego, którego często używał Joe, kiedy odbywał poważną  
rozmowę z młodszym bratem. - Zdamę jeszcze wypełnić moje zobo-  
wiązania - zakończył, bardzo z siebie zadowolony.

- Nie było cię przez trzy dni - zaczął Joe.

- Półtora dnia - poprawił go Greg. - Wróciłem wczoraj wieczorem.  
Widziałem was przy wodopoju.

- Dlaczego się nie pokazałeś? - zdziwił się Joe.

- Widzisz... Kiedy ją zobaczyłem, no... Jak by to powiedzieć? Chyba  
trochę się przestraszyłem. Ona jest taka piękna. Byłem pewien, że to  
zdjęcie w katalogu to lipa. Ale kiedy się przekonałem, że w rzeczywi-  
stości jest jeszcze ładniejsza... Przestraszyłem się.

Joe patrzył na niego ze współczuciem. W końcu rozmawiał z młod-  
szym bratem. Choć Greg wyrósł na dorosłego mężczyznę, to wciąż  
jeszcze był dziecinny i nie całkiem umiał poradzić sobie w życiu.  
Przynajmniej w takim życiu, jakie znał i lubił Joe.

- A co z dziećmi? - zapytał. - Czy wiesz, że Chynna ma dzieci? Wi-  
działeś je?

- Są ekstra. Ja lubię dzieci. Za jednym zamachem będę miał całą ro-  
dzinę w komplecie.

- Co ty wygadujesz, Greg? - Joe znów się rozłościł. - Chcesz się

bawić w dom? To nie zabawa, tylko prawdziwe życie.

- Wiem - obruszył się Greg. - Chcę mieć żonę i dzieci, tak jak każdy normalny facet. Chcę żyć jak każdy normalny facet.

- Tak, tyle że nie chce ci się robić tego wszystkiego, co robi normalny facet, kiedy chce założyć rodzinę.

- A co jeszcze miałbym zrobić? - Greg zaczynał już tracić cierpliwość. Nie rozumiał, czego brat znów chce od niego. - Zamówiłem sobie żonę, a oni mi za darmo dodali dzieci. Zrobiłem dobry interes, nie?

- Ona nie zostanie twoją żoną - powiedział cicho Joe.

- Jasne, że zostanie. Podpisała umowę. - Greg się roześmiał. - Przecież ty jesteś prawnikiem. Powinieneś' się znać na umowach. Są wiążące.

Chynna weszła do kuchni akurat w chwili, gdy wypowiadał ostatnie zdanie.

- No cóż - powiedziała, siadając z nimi przy stole. - To zmienia postać rzeczy.

- To niczego nie zmienia - sprzeciwił się Joe. - Przynajmniej nie musi.

- Greg ma rację. - Chynna spojrzała wyzywająco na starszego z braci. - Podpisaliśmy umowę, a umowy są wiążące.

Greg zmarszczył czoło. Czuł, że za słowami tych dwojga kryje się jakaś tajemnica, nie miał jednak pojęcia, co by to być mogło.

- Często zrywa się umowy - odrzekł Joe.

- Ale tylko wtedy, kiedy są po temu ważne powody - odparła Chynna. - Czy jest jakiś powód, dla którego mielibyśmy zerwać tę umowę?

Patrzyli sobie prosto w oczy. Joe widział w jej wzroku pytanie. Niestety, tej jednej rzeczy, której pragnęła Chynna, on jej dać nie mógł. Powoli odwrócił głowę i spojrzał na Grega.

- Pojedziesz do mamy, czy nie? - zapytał.

- Już ci mówiłem, że do żadnego miasta nie pojedę -burknął Greg. - Ja jej nie kazałem wyjeżdżać do Anchorage. Powinna była zostać tu, gdzie jest jej miejsce.

Joe nie bardzo wiedział, jak postąpić. Przyjechał tu gotów na wszystko. Postanowił, że przywiezie Grega do Anchorage, choćby nawet miał go związać i ogłuszyć. Tymczasem sytuacja całkowicie się zmieniła. W ogóle wszystko się zmieniło. W tej chwili jedynym jego pragnieniem było uciec stąd jak najdalej. I jak najprędzej.

- Przyjedź chociaż na jej urodziny - poprosił. - Nie musisz siedzieć u niej długo. Ona bardzo chce cię zobaczyć.

- Jakże ja mogę teraz jechać? - zapytał szczerze zdumiony Greg. - Muszę się przygotować do ślubu.

To o wszystkim przesądziło. Joe wiedział, że jeśli choć chwilę dłużej pozostanie w kuchni swego rodzinnego domu, to na pewno coś rozbije. Prawdopodobnie głową własnego brata. Zerwał się z krzesła i wybiegł z domu. Pogoda była piękna. Taka jaka bywa tylko na Alasce i wyłącznie o poranku. Słońce dopiero co wzeszło, zaczęły budzić się ptaki, a powietrze było chłodne i krystalicznie czyste. Pokryte śniegiem szczyty gór wydawały się tak bliskie, że wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby ich dotknąć.

Joe usiadł na schodkach. Takich cudów w Los Angeles nie ma, pomyślał. Usłyszał za plecami kroki, ale się nie obejrzał. To był Rusty. Chłopiec usiadł obok niego na schodkach, oparł łokcie na kolanach,

głowę na rękach, dokładnie tak samo, jak to zrobił Joe.

- Cześć, mały - mruknął Joe.

- Cześć - odparł Rusty. - Czy dzisiaj też pójdziemy popatrzeć na zwierzęta?

- Nie teraz. - Joe uśmiechnął się do chłopca. - Może później.

A przecież doskonale wiedział, że później już go tu nie będzie. Miał nadzieję, że Greg zabierze dzieci nad jezioro, i Rusty, mimo wszystko, nie dozna zawodu. O ile wiedział, Greg miał wkrótce zostać jego ojcem. Wprawdzie Joe nie bardzo mógł w to uwierzyć, ale, przynajmniej do tej pory, nikt z zainteresowanych nie zawiadomił go oficjalnie, że ślub został odwołany.

- Pamiętasz, jak cię ugryzłem? - zapytał nagle Rusty.

- Pamiętam. - Joe skinął głową. - Nigdy tego nie zapomnę.

Rusty spojrzał na niego z obawą. Uśmiechnął się, kiedy się zorientował, że Joe sobie z niego żartuje.

- Bardzo tego żałuję - wyznał chłopiec. Zeskoczył ze schodków i pobiegł w stronę furki.

Nagle za domem coś się zakotłowało. Zanim Joe zdążył przygotować Rusty'ego na nowe wydarzenia, na podwórko wpadła sfora psów. Potem okazało się, że były tylko trzy, jednak biegły tak szybko i robiły tyle hałasu, że wydawało się, jakby było ich dużo więcej. Joe zerwał się na równe nogi, gotów pomóc chłopcu, który nie był przyzwyczajony do obecności psów i mógł się ich wystraszyć. Jednak Rusty poradził sobie doskonale. Stał przy furcie i nawoływał psy, a kiedy do niego przybiegły, śmiał się i wyciągał do nich ręce. Był uszczęśliwio-



ny, kiedy wielki, czarny labrador polizał go po policzku.

A więc to są psy Grega, pomyślał Joe. Zdążył już zapomnieć, jakie przyjazne bywają te zwierzęta, jak miło mieć je blisko siebie. Patrzył na psy oraz na Rusty'ego i powoli wszystko sobie przypominał. Małego chłopca, dużego psa i czarodziejską więź, która ich łączyła.

Zamyślony, nie zauważył w pierwszej chwili, że miejsce obok niego znów jest zajęte. Kimmie siedziała bez ruchu i trzymała palec w buzi. Joe się do niej uśmiechnął. Kimmie spojrzała na niego, ale minę miała poważną. Jak zawsze.

- Uśmiechnij się do mnie - poprosił.

Kimmie z namaszczaniem pokręciła główką.

Siedzieli tak obok siebie, patrzyli na piękny poranek i na bawiącego się z psami Rusty'ego. Nie odzywali się do siebie, a jednak Joe poczuł, że mimo wszystko coś łączy go z tą małą dziewczynką. Pomyślał też sobie, że miło jest mieć u boku taką towarzyszkę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Naprawdę chcesz tu zostać? - zapytał Joe, gdy jechali jedyną główną ulicą miasteczka.

- Jasne! - Chynna była podekscytowana. Trzymała w dłoni klucze od domu, który Annie gotowa była jej wynająć. Oczywiście, jeśli Chynnie dom się spodoba.

- Czego ty właściwie chcesz? - zapytał Joe. - Wychodzisz za mąż za Grega, czy otwierasz kawiarnię?

- Jeszcze nie wiem - odparła z niewinną minką. - Może zdecyduję się na jedno i drugie.

Joe wolał milczeć. Chynna przyglądała mu się ukradkiem. Dwa dni temu w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu, myślała. Dopiero od kilku godzin wiem, że go kocham. I właśnie teraz mam go stracić? Nie, nie załamie się. Nie ma mowy. Zaczę nowe życie. Stworzę dzieciom prawdziwy dom. Będą szczęśliwe. A ja dzięki nim.

- Jesteśmy na miejscu. - Joe zatrzymał samochód przed zielonym domkiem. - Mam nadzieję, że ten dom też już zdążyłaś pokochać.

Najśmieszniejsze było to, że Chynna rzeczywiście zakochała się w zielonym domku od pierwszego wejrzenia. Był uroczy. Trochę podniszczony upływem czasu, ale w tym tkwił cały urok. Piękne i urzekające były także rosnące wokół domu kwiaty.

- Jak długo ten dom stoi pusty? - zapytał Joe.

- Annie mówiła, że od roku. Ludzie, którzy tu mieszkali, sprzedawali pamiątki.

- Współczuję im. - Joe pokręcił głową. - Turyści nieczęsto tu zaglą-  
dają, więc chyba się nie wzbogacili.

- Jasne, że nie. - Chynna się roześmiała. - Przenieśli się na Florydę.  
Annie mi mówiła, że prowadzą teraz szkołę nurkowania.

Włożyła klucz do zamka, ale ręce jej się trzęsły i Joe musiał jej po-  
móc otworzyć drzwi. W środku pachniało pleśnią, ale dom był wy-  
sprzątanym. Duży pokój był zupełnie pusty, za to pozostałe pomieszzcze-  
nia - całkowicie umeblowane.

- Wspaniałe miejsce! - emocjonowała się Chynna. -Szkoda, że nie  
zabraliśmy dzieci. Byłyby zachwycone.

- Rusty i Kimmie bardziej interesują się świnkami niż nieruchomości-  
mi - mruknął Joe. - A i Annie bardzo jest rada, że może się nimi  
zająć.

- Spójrz tylko. - Chynna przemierzała pokój tam i z powrotem. - Tu-  
taj można by postawić ladę. A tu jest zlew. Doskonale!

Joe patrzył na nią i choć był w ponurym nastroju, musiał się  
uśmiechnąć. Widać było, że Chynna poważnie myśli o założeniu wła-  
snego interesu. Joe nie wiedział, gdzie w tym jej nowym życiu jest  
miejsce dla Grega i czy w ogóle jego brat odegra w nim jakąś rolę.  
Odkąd Greg się pojawił, Chynna stała się bardzo tajemnicza. Joe  
wprawdzie nie wierzył, że nadal rozważała możliwość małżeństwa z  
jego młodszym bratem, ale skoro otwarcie tego nie wykluczyła, to kto  
wie...

- Masz dość pieniędzy na rozkręcenie interesu? - zapytał.

- Nie martw się o mnie. - Spojrzała na niego badawczo. - Mówiłam ci, że mam trochę oszczędności.

- Nie potrzebujesz pożyczki?

- Dlaczego miałbyś mi pożyczać pieniądze? - Chynna podeszła do niego i popatrzyła mu prosto w oczy. - Przecież ten pomysł od początku ci się nie podobał.

- Nie chciałbym, żebyś się w to jeszcze bardziej angażowała, więc daj mi znać, jak będziesz w potrzebie.

Odwrócił się i poszedł oglądać dom. Chynna patrzyła na niego z czułością. Jakże mogłaby go nie kochać? Był pełen sprzeczności. Był też najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Szaleństwem byłoby pozwolić takiemu mężczyźnie odejść. Ale czy miała inne wyjście?

Westchnęła i poszła za Joem w głąb domu. Stojące tam meble były proste, lecz ładne i w dobrym stanie. Pod ścianą stała kanapa, dwa fotele i niski stolik. Był tu też stół, sześć krzeseł i pusta serwantka.

- Będzie wspaniale - powtórzyła Chynna. - Kawiarnią będę otwierać rano i po południu. Przez resztę dnia będę przygotowywać jedzenie i uczyć dzieci. No a kiedy pójdą do szkoły...

- W tutejszej szkole jest tylko jedna klasa - poinformował ją Joe.

- Wiem. - Chynna uśmiechnęła się radośnie. - Czy może być coś wspanialszego?

- Nie znam się na tym - skrzywił się Joe. - Wiem tylko, że z reguły szkoły są podzielone na klasy i każda klasa ma innego nauczyciela. Podobno tak jest lepiej.

- Ja tak nie uważam - emocjonowała się Chynna. - Zobacz tylko, jak cy ludzie kończyli te małe szkółki, które prowadzono dawniej. A

nasze nowoczesne szkoły? Zgroza! Dawni nauczyciele wiedzieli przy-  
najmniej, jak nakłonić dziecko do nauki.

- Może masz rację. - Joe znów się uśmiechnął. Chynna była tak peł-  
na zapału, że aż miło było na nią patrzeć.

- Będę pracowała w domu i kiedy dzieci wrócą ze szkoły, nie będą  
same. Zaczną mi pomagać, a uczciwa praca nikomu jeszcze nie za-  
szkodziła. - Oczy się jej śmiały. - To idealne miejsce. Właśnie o czymś  
takim marzyłam.

- Tak bardzo tego chcesz, że na pewno ci się uda - powiedział Joe,  
już zarażony jej entuzjazmem.

- Naprawdę w to wierzysz? - ucieszyła się Chynna.

- Wierzę, ale zrealizujesz swój cel pod jednym warunkiem: jeśli nie  
wyjdiesz za mąż za Grega.

- Zapamiętam sobie twoją radę. - Chynna odwróciła się i podeszła  
do okna. Ogród był zapuszczony, a ona nie mogła się już doczekać,  
kiedy zacznie doprowadzać go do porządku.

- Możesz nawet o niej zaraz zapomnieć. - Joe stanął za jej plecami.

- Tylko, na miłość boską, nie rób tego!

- Dlaczego? - Spojrzała na niego wyzywająco. - W końcu po to tu  
przyjechałam.

- Bo to złe rozwiązanie. Dla ciebie, dla dzieci, a nawet dla Grega.

Chynna pomyślała sobie, że on chyba ma ją za idiotkę, skoro przy-  
puszcza, że mogłaby poślubić Grega. Nie miała zamiaru tego robić, ale  
nie chciała także, żeby Joe zbyt szybko się o tym dowiedział. Może  
pragnęła go trochę podręczyć?

- Mówisz tak tylko dlatego, że sam nie chcesz się ożenić. Joe, bez  
ostrzeżenia, chwycił ją za ramiona.

- Jedź ze mną do Los Angeles - powiedział. - Zamieszkacie ze mną.

Ty i dzieci. Nie będziesz musiała chodzić do pracy. Coś wymyślimy. Mogłabyś zajmować się domem...

- Nie - odparła stanowczo, choć bardzo wiele ją to kosztowało. Znów odwróciła się do okna. Nie chciała patrzeć w Joego oczy. - Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? To niemożliwe.

- Dlaczego? - Joe rzeczywiście niczego nie rozumiał. - W czym moja propozycja jest gorsza od oferty Grega?

- W małżeństwie będę miała równe prawa z mężem, a jeśli z tobą zamieszkać, zawsze będę od ciebie zależna. I ja, i moje dzieci.

- Bzdury opowiadasz - prychnął, choć w głębi duszy wiedział, że to ona ma rację.

- To szczerą prawdą - pokręciła głową. - Nie zamieszkać z tobą bez ślubu.

- A czemu by nie? - Joe próbował żartować. - To teraz modne. Wszyscy tak żyją.

- I dlatego nasze społeczeństwo pełne jest porzuconych dzieci, które nie wiedzą nawet, kim są ich rodzice. Ja nie chcę, żeby moje dzieci też to spotkało.

- Ale chciałabyś ze mną pojechać? - dopytywał się Joe, głaszcząc ją po plecach. - Gdyby była taka możliwość, tobyś chciała?

Próbowała się odsunąć, ale ją przytrzymał.

- Pragniesz mnie, prawda? - zapytał cicho. - Powiedz prawdę.

- Czy muszę ci to mówić? - Dotknęła jego policzka. - Nie czujesz tego?

- Nie możesz poślubić Grega - jęknął, tuląc ją do siebie.

- Dlaczego? - Chynna uśmiechnęła się do niego.

- Dlatego. - Przycisnął ją do siebie tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Wmawiał sobie, że chce jej tylko coś udowodnić, obudzić ją i że zaraz ją puści. Ale jego wargi jakimś cudem znalazły się na ustach Chynny. Wszystkie plany Joego w jednej chwili diabli wzięli. Chynna tuliła się do niego chętnie i z zapalem odpowiadała pocałunkami na pocałunki. Rzeczywiście, nie musiała nic mówić. Jej ciało przekazywało więcej, niż zdołałyby powiedzieć słowa.

Przestali nad sobą panować. Na szczęście byli w domu, ale gdyby znaleźli się teraz na plaży czy gdziekolwiek indziej, prawdopodobnie nie miałyby to dla nich większego znaczenia. Tak bardzo siebie pragnęli.

Joe nigdy w życiu nie miał takiej kobiety. Chynna należała do niego, była jego ciałem i duszą. Wiedział, że już nigdy w życiu nie trafi mu się żadna do niej podobna.

A jednak to w niczym nie zmieniało postaci rzeczy. Joe był tym samym mężczyzną, jakim był, zanim się poznali, a Chynna, bardziej niż kiedykolwiek, pragnęła zamieszkać na Alasce.

Patrzył na nią, na jej rozrzuconą na poduszce włosy i chciał ją zmusić, żeby mu obiecała, że nie poślubi jego brata, że nigdy nie poślubi żadnego mężczyzny. Niestety, nie miał do tego prawa. Skoro nie chciał jej niczego dać, nie mógł także niczego od niej wymagać. Z tej sytuacji nie było wyjścia.

- Jesteś moja - szepnął jej do ucha.

- Słucham? - Wiedziała, że coś powiedział, ale nie zrozumiała wyszeptanych słów.

- Nic, nic. - Odgarnął włosy z jej twarzy. - To nic ważnego.

Chynna wiedziała już, że nic się nie zmieni. Mogliby się kochać cały dzień, a on i tak by wyjechał. Joe opuści Alaskę, a ona tu zostanie. A z nią zostaną wspomnienia, które muszą wystarczyć na resztę jej życia.

Joe wyjechał wieczorem. Została po nim chmura pyłu na drodze, która, zdawało się, nigdy nie opadnie. Za każdym razem, gdy Chynna wyglądała przez okno, miała wrażenie, że widzi jeszcze jakieś' cząsteczki pyłu, które nie zdążyły wylądować na ziemi.

Rusty i Kimmie nie pytali, dokąd pojechał, a Chynna nie wiedziała, co im powiedzieć, wobec czego w ogóle tego tematu nie poruszała. Dzieci cały dzień bawiły się na podwórku. Bardzo szybko stały się wiejskimi dziećmi, wolnymi i zakochanymi w naturze. Wszędzie potrafiły wypatrzeć jakieś żywe stworzenie, a Joe nauczył je, jak obserwować' te stworzenia, nie robiąc krzywdy. Właśnie takie życie sobie dla nich wymarzyła.

Przez całe popołudnie sprzątała swój nowy dom, a wieczorem wszyscy troje się do niego przeprowadzili.

- Dlaczego nie chcesz poczekać z tym do jutra? - dopytywał się Greg, zaskoczony tym nagłym pośpiechem. - Czy coś cię goni?

- Chcę wreszcie być u siebie - powiedziała. - Zresztą dzieci też powinny w końcu mieć własny pokój.

- Teraz, kiedy Joe się wyniósł, moglibyśmy się trochę lepiej poznać - mruknął Greg.

- Przyjdź do nas jutro na podwieczorek - zaproponowała Chynna. - Wypróbuję na tobie swoje zdolności kulinarne.



- Fajnie. - Greg się rozchmurzył. - Zrobisz mi kanapkę z masłem orzechowym i bekonem?

- Pewnie, że zrobię.

Chynna nie mogła się doczekać otwarcia swojej kawiarni. Annie poleciła jej kilku hurtowników i Chynna już poskładała zamówienia. Annie pomogła jej także załatwić wszystkie formalności związane z uruchomieniem kawiarni.

- Gdyby Joe mógł mnie teraz zobaczyć - westchnęła Chynna, dumna z tego, czego już zdołała dokonać.

A przecież od jego wyjazdu minęły zaledwie cztery godziny. Ona jednak nieustannie o nim myślała. Zastanawiała się nawet nad tym, jak to możliwe, żeby prawie obcy mężczyzna zdołał aż tak zmienić jej życie. Nie wiedziała, czy go jeszcze kiedyś zobaczy, choć miała nadzieję, że tak.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Jesteś dużym dzieckiem - mówiła siwowłosa pani, patrząc z czułością na siedzącego naprzeciw niej syna. - Zawsze masz taką kwaśną minę, kiedy coś nie układa się po twojej myśli.

- Przecież wszystko układa się po mojej myśli - zaprotestował Joe.

- Widocznie nie wszystko, bo właśnie masz tę swoją minę. - Matka uśmiechnęła się do niego. - Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło, kiedy przyjechałeś do Grega - poprosiła.

- Nic takiego. - Joe skrzywił się, sam o tym nie wiedząc. - Już ci mówiłem, żeśmy się pokłócili. Nie chciał przyjechać do Anchorage, więc wyjechałem i to wszystko.

- Przykro mi, że się między wami nie układa - westchnęła starsza pani.

- On jest beznadziejny - stwierdził Joe. - Nie wiem, co zrobić, żeby się wreszcie zmienił.

- Nic. Och, doskonale wiem, jak się czujesz. Ja sama mnóstwo czasu poświęciłam na to, żeby go zmienić, ale w końcu musiałam przyjąć do wiadomości, że Greg jest, jaki jest, i koniec. Będzie ci łatwiej żyć, jeśli i ty przyjmiesz ten fakt do wiadomości.

- Ja mam wspaniałe życie - odparł Joe. - To jemu nic się nie udaje.

- Trudno. To jego życie i on decyduje, co z nim zrobi. A ty byłeś u niego dłużej, niż zamierzałeś?

- Tak. - Joe nie patrzył matce w oczy. - Kiedy przyjechałem, nie było go w domu. Wybrał się na polowanie. Dwa dni na niego czekałem.

- Czy coś się w ciągu tych dwóch dni wydarzyło? - zapytała cicho starsza pani.

Joe się zawahał. Matka zawsze była mu bardzo bliska i właściwie nie miał przed nią tajemnic, ale o tym, co zdarzyło się w domu, nie chciał jej mówić. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Nic - skłamał. - Zupełnie nic.

Matka zbyt dobrze go знаła, żeby mogła uwierzyć w kłamstwo. Nie wiedziała, co go trapi, czuła jednak, że to coś jeszcze przez długi czas będzie mu sprawiać ból.

Chynna malowała pokój. Od wyjazdu Joego minęły trzy dni i przez ten czas w Kawiarni Chynny, jak miała zamiar nazwać swój lokal, wszystko powoli znajdowało właściwy wygląd i miejsce.

Greg bardzo jej pomógł. Pracowałby dzień i noc bez przerwy, gdyby mu obiecała, że dostanie za to kanapkę z bekonem i masłem orzechowym. Chynna bardzo mu była wdzięczna za pomoc, choć w jego obecności nie mogła zapomnieć o Joem, a myśl o nim nieodmiennie wywoływała ból w jej sercu. Miała nadzieję, że te wspomnienia z czasem zblakną. i wkrótce całkiem zapomni o starszym z braci Camdenów. Niestety, stało się inaczej.

O ile dobrze wiedziała, to Joe wciąż jeszcze przebywał u matki w Anchorage. Był tak blisko, a przecież tak bardzo daleko.

- Dlaczego nie chcesz odwiedzić matki? – zapytała Chynna Grega, schodząc z drabiny.

Greg spojrział na nią zaskoczony. Takiego pytania się po niej nie spodziewał.

- Tak naprawdę to ona wcale nie chce mnie widzieć - mruknął. - Matka tylko Joego kocha i tylko na nim jej zależy. Zawsze tak było.

Chynna wprawdzie nie знаła ich matki, ale za to dobrze znała kobiety. Poza tym sama była matką i w takie bzdury, jakie wygadywał Greg, ani przez chwilę nie mogła uwierzyć.

- Ciebie też kocha - powiedziała z pełnym przekonaniem. - Ty także jesteś jej dzieckiem.

- Nie. - Greg pokręcił kudłatą głową. - Ja jestem dzieckiem mojego ojca. To on nauczył mnie wszystkiego, co wiem o tutejszej przyrodzie.

- A Joe? - zapytała Chynna, płucząc pędzel pod mocnym strumieniem wody.

- Co Joe?

- Czy on także chodził z wami w góry?

- Czasami. Nie lubił polować. Przeważnie zostawialiśmy go w domu.

- Z matką - domyśliła się Chynna. Zakręciła wodę i podeszła do Grega, który właśnie kończył mocować półki.

- No - skrzywił się Greg. - Oni są do siebie bardzo podobni. Ich ulubionym zajęciem jest powtarzanie mi, że marnuję sobie życie. Po co mam jechać do tego parszywego miasta? Żeby znów to usłyszeć?

A, więc o to chodzi, pomyślała Chynna. No cóż, prawie każdy zna podobne kłopoty z własnego doświadczenia. Ale chyba musi być jakiś sposób, żeby tych ludzi ze sobą pojednać. Muszę się zastanowić...

- Czy twoja matka odwiedziła cię kiedyś po swojej przeprowadzce do Anchorage? - zapytała.

- Nie. Wyjechała i basta. - Greg spojrział na stół, na którym stała pusta szklanka. - Masz jeszcze trochę, tego czekoladowego picia? - zapytał.

Chynna naląła mu z termosu kawy o czekoladowym smaku. Zamyśliła się.

- Może powinieneś ją do siebie zaprosić - powiedziała, podając Gregowi szklankę.

- Kto? Ja? - Greg nie posiadał się ze zdziwienia.

- No to może ja ją zaproszę - zaproponowała Chynna. Ten pomysł z każdą chwilą coraz bardziej jej się podobał. - Przyjęcie urodzinowe możemy urządzić tutaj. Zaprosilibyśmy Annie i wszystkich znajomych twojej mamy. Co ty na to?

- A bo ja wiem. - Greg wzruszył ramionami. A po chwili dodał: - Może to i dobry pomysł.

Chynna się uśmiechnęła. Ucieszyła się, że mają już zainstalowany telefon. Nadszedł czas, żeby go wreszcie wypróbować.

- Zaraz do niej zadzwonię. Podaj mi numer telefonu swojej mamy - poprosiła. - Zobaczysz, będzie wspaniale.

Greg posłusznie odszukał w portfelu kartkę z numerem telefonu matki. Chynna zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę z tego, że Joe prawdopodobnie jest jeszcze w Anchorage. Bała się, że jeśli sobie o tym przypomni, zwierzy podstęp i doskonały plan Chynny spali na panewce.

Chynna niczego z góry nie planowała. Ten pomysł przyszedł jej do głowy przed chwilą, ale skoro tak się stało, nie było sensu z niego rezygnować. W końcu niczego nie traciła, a zyskać mogła bardzo dużo. O ile, oczywiście, Greg czegoś się nie domyśli...

Na szczęście nie domyślił się niczego. Wygrzebał z portfela kartkę z na-gryzmołonym numerem telefonu i podał ją, Chynnii.

- Pozdrów ją ode mnie - powiedział obojętnie. - Właściwie to ona jest całkiem miła.

Chynna poszła do drugiego pokoju, w którym wisiał telefon. Serce tłukło się w jej piersi jak dziki ptak w klatce. Słuchała sygnału i zastanawiała się, co zrobi, jeśli przypadkiem Joe odbierze telefon. Ale słuchawką podniosła kobieta.

- Pani Camden? - zapytała Chynna. - Wiem, że pani mnie nie zna, za to ja znam pani synów.

- Naprawdę?

- Tak. Chodzi o to... - Chynna zamilkła. Zdała sobie sprawę z tego, jak trudno będzie wytłumaczyć starszej pani, o co naprawdę chodzi. - Przyjechałam na Alaskę, żeby poślubić Grega, ale...

- Co takiego? Gdzie pani poznała mojego syna?

- Nigdzie. Ja... - Chynna westchnęła. No cóż, nie pozostało jej nic innego, jak powiedzieć prawdę. - Greg wybrał mnie z katalogu. Ale kiedy przyjechałam, Grega nie było. Potem pojawił się Joe i razem czekaliśmy na powrót Grega. Przez ten czas... No cóż...

- Już nie chce pani zostać żoną mojego młodszego syna - domyśliła się starsza pani.

Chynna zerknęła w stronę Grega. Na szczęście był daleko i tak pochłonięty pracą, że prawdopodobnie niczego nie słyszał.

- Nie chcę - potwierdziła. - Dobrze poznałam obu pani synów i wiem, jak bardzo panią kochają. Chodzi o to... Chciałabym wyprawić pani przyjęcie urodzinowe. Tutaj, w Dunmovin. Co pani na to?

- Dlaczego? - zapytała pani Camden po chwili milczenia.

- Ponieważ uważam, że powinna się pani spotkać z Gregiem.

- A dlaczego on nie może przyjechać do mnie?

- Myślę, że bardzo by chciał, ale... On jest typowym dzieckiem natury. Pewnie boi się tej podróży. Serce mnie boli, kiedy widzę, jak pomiędzy matką i synem tworzy się przepaść. Sama mam dwoje dzieci... Chciałabym zrobić coś dla pani i dla Grega. Przyjedzie pani do nas?

Pani Camden milczała dłuższą chwilę.

- Tak, moja droga - powiedziała wreszcie. - Przyjadą.

Chynna nie posiadała się z radości. Promieniała, kiedy odłożyła słuchawkę. Nie miała odwagi zapytać, czy Joe też przyjedzie, choć podczas rozmowy usłyszała jego głos. Była prawie pewna, że przyjedzie. Prawie...

Joe spoglądał przez iluminator na leżące w dole miasto. Wracił do Los Angeles. Alaska znów stała się dla niego tylko wspomnieniem. Przez całą drogę zastanawiał się nad tym, co mu matka powiedziała o Gregu. Chyba wreszcie przyjął do wiadomości, że Greg jest, jaki jest i że nie trzeba go zmieniać. Bardzo mu w tym pomogła przekazana

przez matkę informacja, że Chynna jednak nie wyjdzie za mąż za jego młodszego brata. Od razu poczuł do niego więcej sympatii.

Ciekawe, czy uda mi się kiedyś nie irytować w obecności Grega, pomyślał. Pewnie nie, ale na pewno nie będę próbował go zmieniać. Zresztą i tak by mi się to nie udało.

Na szczęście był w Kalifornii i nie musiał myśleć o tym, co działo się na Alasce. Żałował tylko, że nie marzy o powrocie do pracy tak bardzo, jak powinien. Z początku lubił swoją pracę, ale ostatnio wszystko coraz bardziej go nudziła. Potrzebował czegoś nowego, czegoś, co zmusiłoby go do myślenia.

- Proszę zapiąć pasy - poprosiła śliczna, rudowłosa stewardesa. - Podchodzimy do lądowania.

Już w Seattle zaczęła z nim flirtować. Joe siedział rozparty w swoim fotelu i przyglądał się stewardesie, która, kręcąc pupą, podchodziła do innych pasażerów.

Zaproszę ją na kolację, pomyślał Joe, Tak się naprasza. Zaproszę ją i trochę się rozerwę. Zaraz, jak tylko tu wróci, poproszę ją, żeby się ze mną spotkała.

Stewardesa znów szła w jego stronę. Joe przygotował dla niej swój najmiłszy uśmiech i czekał.

Samolotem zakołysało. Rudowłosa piękność chwyciła się fotela, żeby nie stracić równowagi. W tej samej chwili z innego fotela wybiegła mała dziewczynka. Matka wychyliła się, i złapała małą, zmuszając dziecko do powrotu. Joe zdążył się im przyjrzeć. Obie były blondynkami. Tak jak Chynna i Kimmie.

Stewardesa zbliżała się do niego. Uśmiechała się wyczekująco, ale Joe już tego nie widział. Znów myślał o Alasce.



Czuł, że nie będzie żadnej kolacji z żadną kobietą. Nie wiedział tylko, czy w ogóle będzie mógł jeść.

Przyjęcie było prawie gotowe. Chynna i Greg nadmuchiwali balony i rozwieszali długie serpentyny. Zaproszono mieszkańców całego miasteczka. Chynna nie posiadała się ze szczęścia. Jej nowe życie miało się rozpocząć z wielką pompą, bo przyjęcie urodzinowe pani Camden zbiegło się w czasie z otwarciem kawiarni. Gdyby jeszcze przyjechał Joe, Chynna byłaby wniebowzięta. Ale na tyle szczęścia nie śmiała liczyć.

Paplała bez ładu i składu, byle tylko nie myśleć, byle tylko móc się czymś zająć.

- Zaraz, zaraz - przerwał jej wreszcie nieco oszołomiony Greg. - A co będzie z nami?

- A co ma być? - zdziwiła się Chynna.

- Bierzemy w końcu ten ślub, czy nie?

Chynna westchnęła. Od dawna spodziewała się tej rozmowy i była na nią dobrze przygotowana. Nie miała zamiaru zwodzić Grega ani tym bardziej go okłamywać.

- Przykro mi, Greg - powiedziała - ale uważam, że nie powinniśmy tego robić.

- Przecież obiecałaś.

- Pamiętam i bardzo cię przepraszam. - Wzięła jego wielkie łapsko w swoje drobne dłonie. - Jeśli dokładnie przeczytasz naszą umowę, przekonasz się, że jest tam klauzula, która każdemu z nas pozwala się wycofać, gdybyśmy się wystraszyli.

- Wystraszyłaś się?

- Bardzo - westchnęła Chynna.

- A więc ja też mogę zrezygnować? - zapytał Greg z nadzieją w głosie. Wcale nie był na nią zły.

Chynna spojrzała na niego zaskoczona. Po chwili głośno się roześmiała.

- Widzę, że ty też nie masz ochoty się ze mną żenić. Mam rację?

- Wcale nie masz - sprzeciwił się Greg niezbyt szczerze. Zaczepił się po cebulki włosów i spuścił oczy. - Widzisz... Wczoraj spotkałem Nancy... Dowiedziała się o nas. Zrobiłem na niej wrażenie - dodał z dumą. - Tak się do mnie mizdrzyła... Pomyślałem sobie, że może jednak mam u niej jakieś szanse.

- Ty potworze! - śmiała się Chynna. - Ciągnąłeś mnie tutaj przez pół kontynentu tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość Nancy?

- Nie, nie - bronił się Greg. - Wcale nie o to chodziło. Przysięgam!

- Nawet gdyby tak było, to i tak do końca życia będę ci za to wdzięczna - uspokoiła go Chynna. - Mój przyjazd tutaj to najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

- Bogu dzięki - westchnął z ulgą Greg.

Chynna rzuciła w niego serpentyną i oboje wybuchnęli gromkim śmiechem. Ten zarośnięty dzikus stał się jej bliski jak rodzony brat. Niestety, natychmiast przypomniała sobie, że on już ma brata. Posmutniała.

Tego wieczora, patrząc w rozgwieżdżone niebo, znalazła Gwiazdę Życzeń.

- Spraw, żeby Joe do mnie wrócił - poprosiła.

Wkrótce miała się przekonać, czy na Alasce życzenia się spełniają.

Okazało się, że Gwiazda Życzeń nie ma władzy nad Alaską. Być może dlatego, że noce są tu nazbyt krótkie. Pani Camden przyjechała sama. Chynna była niepocieszona.

Chociaż, z drugiej strony, miło było patrzeć na spotkanie matki i syna. Greg nawet ogolił się z tej okazji. Ten wielki mężczyzna rozplakał się jak dziecko, kiedy matka go do siebie przytuliła. Stalowy pancerz spadł z niego jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przez resztę wieczoru Greg był duszą towarzystwa. Jego dowcip wyostrzył się jeszcze bardziej, gdy na przyjęciu pojawiła się śliczna Nancy.

Pani Camden bawiła się doskonale. Ludzie z całej okolicy ściągali do Dunmovin, żeby się z nią zobaczyć. Nie wiedziała, że wszystkim aż tak bardzo brakowało jej obecności.

- Niedługo znów do was przyjadę - obiecywała.

Były śpiewy, tańce i mnóstwo jedzenia. Nie minęło wiele czasu, a Chynna poczuła się tak, jakby w tej społeczności przeżyła całe swoje życie. Sympatia i opieka Annie okazały się skuteczniejsze od najlepszej rekomendacji. Żyjący samotnie w górach mężczyźni jeden po drugim podchodzili do Chynny i zapewniali ją, że podczas następnej bytności w miasteczku na pewno wpadną do niej na kawę i kanapki.

Okolo północy Chynna miała wreszcie okazję, porozmawiać z panią Camden. Obie z miejsca przypadły sobie do gustu.

- Kochasz mojego syna? - zapytała pani Camden bez ogródek.

- Ja... -jąkała się Chynna. - Zdawało mi się, że wszystko wyjaśniłam.

- Nie pytam o Grega. Coś ty zrobiła z Joem, dziewczyno?

- Nic nie zrobiłam. - Chynna zaczerwieniła się jak burak.

- Owszem, zrobiłaś. Chodzi nieprzytomny jak zakochany kundel.

Za późno było, żeby czemukolwiek zaprzeczyć. Chynna opowiedziała starszej pani o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu tamtych dwóch dni. Choć pominęła niektóre bardzo istotne dla sprawy szczegóły, to nie omieszkła wspomnieć, że nigdy w życiu nie spotkała takiego mężczyzny jak Joe.

- Jest silny, a jednocześnie taki delikatny - mówiła, jakby jego matka mogła tego nie wiedzieć. - Nie rozumiem, dlaczego nie chce zamieszkać tu, gdzie się wychował. Powinien kochać to miejsce.

- Joe zawsze uważał, że Greg jest podobny do ojca i stworzony do życia na Alasce, a on sam jest podobny do mnie. Czuł się tu nie na miejscu. Dorastał w przekonaniu, że gdzieś na świecie istnieje inne życie i że ono bardziej by mu odpowiadało od tego, które tu prowadzi. Z utęsknieniem wyczekiwał dnia, kiedy będzie mógł opuścić Alaskę. - Pani Camden westchnęła na wspomnienie dawnych czasów. - Tymczasem on ma Alaskę we krwi. Tak samo jak Greg. Najwyższy czas, żeby to wreszcie zrozumiał.

- On nigdy się do tego nie przyzna - powiedziała Chynna.

- Spróbujemy go do tego nakłonić. - Pani Camden uśmiechnęła się tajemniczo. - Masz tu telefon, moje dziecko? Kręci mi się w głowie. Muszę zadzwonić do Kalifornii, do syna.

Chynna ze ściśniętym sercem patrzyła, jak starsza pani wychodzi do pokoju w którym jest telefon. Nie miała wielkiej nadziei, ale w końcu co szkodziło spróbować. Zrobiłaby wszystko, żeby sprowadzić Joego na Alaskę.

Joe pędził do Dunmovin z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Klął na czym świat stoi. Opuścił Alaskę na zawsze i nie miał zamiaru tu wracać. Ani na chwilę. Wiedział, że jeśli wróci, może nie oprzeć się urokowi rodzinnych stron. I tak się właśnie stało. Mimo zawrotnej szybkości zauważył, że nie ma na świecie drugiego takiego miejsca, które byłoby piękniejsze od tej przeklętej Alaski.

To wielka kraina, pomyślał Joe. Człowiek jest tu zdolny do wielkich czynów.

Wjechał do miasta, minął sklep kolonialny Annie i skierował się prosto do domu Chynny. Matka powiedziała mu, że tam właśnie się zatrzymała. To także go irytowało. Nie rozumiał, jak to się stało, że te dwie kobiety się spotkały i, co gorsza, tak prędko się ze sobą zaprzyjaźniły.

Zatrzymał samochód na podwórku. Wsiadł i rozprostował kości po długiej podróży. Nagle usłyszał tupot dziecięcych stopek. Odwrócił się. Na ganku stał Rusty.

- O rany! - zawołał uszczęśliwiony chłopiec. – Jednak wróciłeś!

Joe poczuł się niezręcznie. Nie chciał sprawiać przykrości dzieciom.

- Przyjechałem na krótko - powiedział pośpiesznie, ale Rusty go nie słuchał.

- Czy zostaniesz naszym tatusiem? — zapytał, jakby było to najbardziej naturalne pytanie pod słońcem.

Joe zaniemówił. Pewnie mniej by go zaskoczyło, gdyby Rusty do niego strzelił. Zakręciło mu się w głowie i musiał chwycić się płotu, żeby nie upaść. A potem usłyszał swoje słowa, których wcale nie zamierzał wypowiadać'.

- A chciałbyś, żebym został twoim tatą?

Świat zamarł na chwilę, a powietrze wokół stężało. Rusty przyglądał mu się uważnie. Miał taką minę, jakby nie był pewien, czy na takie pytanie w ogóle wypada odpowiadać'. Długo się zastanawiał, aż w końcu spojrzał na Joego. Widocznie powziął jakąś decyzję.

- Kimmie chce - oświadczył. - Powiedziała mi o tym.

Joe czuł się jak we śnie. Jakby oglądał film, który toczy się w zwolnionym tempie.

W tej chwili z domu wyszła Kimmie. Na widok Joego wyjęła z buzi palec.

- Joe!.- zawołała i podbiegła do niego.

Nie wiedział dokładnie, jak to się stało: czy Kimmie podskoczyła, czy też może on się pochylił i porwał ją na ręce. Ważne było tylko to, że ścisnęła go za szyję, a on tulił ją do siebie jak odzyskany skarb.

- Joe! Joe! - powtarzała Kimmie bez wytchnienia.

Uśmiechała się do niego.

Oczy go piekły i nie wiedział, dlaczego. Czuł jednak, że za nic na świecie nie pozwoliliby tej dziewczynce od siebie odejść. Zauważył, że jej matka także wyszła przed dom. Wszystko, co się później stało, działo się bez udziału jego woli i świadomości.

Kiedy potem o tym myślał, przypominał sobie, że wyglądało to trochę tak jak na filmie, na którym kobieta i mężczyzna biegną do siebie po ukwieconej łące. Jakby byli magnesami, które muszą się ze sobą połączyć, jak dwie połowy jednej całości.

Chynna płakała, kiedy ją do siebie przytulił. Jej twarz była mokra od łez i, co śmieszniejsze, on także miał mokre policzki. Scałowywał jej łzy. Całował oczy, usta, nos... Aż wargi go bolały od tych pocałunków.

Wreszcie Chynna zaczęła się śmiać... Uwieszone jego nóg dzieci także się śmiały i Joe śmiał się razem z nimi. A wszystko to zdarzyło się tak nagle i zupełnie bez przygotowania...

Joe odnalazł rodzinę i było mu z nią dobrze. Żałował, że nikt go nie uprzedził, że to takie wspaniałe uczucie. Najważniejsze jednak, że wreszcie się stało. Wcale się nie zdziwił, gdy usłyszał wypowiedziane przez siebie słowa, że kocha Chynnę i że już nigdy nie zostawi jej samej. Ani jej, ani dzieci. I że nie ma zamiaru opuszczać Alaski.

- Naprawdę tu wytrzymasz? - zapytała Chynna.

Joe zorientował się, że kiwa głową, choć zupełnie nie wiedział, dlaczego to robi.

- Komputery bardzo ułatwiają życie - usłyszał własne słowa. - Mogę pracować tutaj. Kocham Alaskę.

- Dobrze, że wreszcie to zrozumiałeś - ucieszyła się pani Camden. Zapomniała już, że powinna mieć palpacje, czy coś podobnego, co spowodowało Joego w to właśnie miejsce.

Wyglądała doskonale. Ona także była szczęśliwa. Wzięła dzieci za ręce i poszła z nimi na łąkę. Ich rodzicom należała się teraz chwila spokoju.

- Nie rozumiem, jak to się stało - powiedział Joe, tuląc Chynnę w ramionach.

- Możesz się uważać za męża z katalogu - roześmiała się Chynna. - Zamówiłam cię, przyjechałeś i teraz już zawsze będziemy razem.

Pocałował ją. Wiedział, że właśnie tego mu do szczęścia brakowało. Żałował tylko, że stracił tyle czasu na zrozumienie tej prawdy.

- Kocham cię - wyszeptał.

- Ja także cię kocham - szepnęła Chynna. W oczach miała łzy radości. - Wszyscy cię kochamy.

- Kimmie też?

- Ona przede wszystkim. - Chynna się do niego przytuliła. —Nie, cofam to, co powiedziałam - dodała po namyśle. - Przede wszystkim ja.

RS